



Exz. archiwalny IBL

P A N

WŁADYSŁAW.

ROMANS ORYGINALNY

PRZEZ

S. B. . . .



W WARSZAWIE,

**W DRUKARNI RAFAŁA JABŁOŃSKIEGO PRZY
ULICY NOWOMIEYSKIEJ POD N. 161.**

1826.

<http://rcin.org.pl>



Za Pozwoleniem Cenzury.

INSTITUT
WARSZAWSKI
Biblioteczny
ul. Nowy Świat nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-66-63, 26-52-31 w. 2

341 -

<http://rcin.org.pl>

PRZEDMOWA.

Kto niezdolny puszczać się drogą Walter-Skotów, a czuie przynajmniey chęć pisania, łatwieyszą drogę obrać powinien. Nie zamierzyłem wywodzić z grobów imion starodawnych, ani staroświeckie obyczaje oyców naszych opisać, lubię je czytać, unoszę się nad niemi, to dosyć dla mnie. Ja chciałem tylko w Panu Władysławie, wystawić pokrótce tegoczesne zwyczaje, wyprowadzam go na scenę mówiącego o sobie samym, opisującego życie swoje. Nie iest

to świat idealny, po którym Pan Władysław przechodził, nadzwyczajności próżnoby się; kto spodziewał, iest to młodzieniec, który za granice Ojczyzny swojej nie oddalał się nigdy, nie błąkał się po cudzych krajach, ani po morzach pływał, żadnych nie doznał przypadków, prócz zwyczajnych, które każdemu przytrafić się mogą, Jeżeli iednak taki Pan Władysław, zdoła komu dosyć przyjemnie zaiąć godzinę, której nie miał czemu poświęcić, iezli choć na wzmiankę u rozsądnych zasłuży krytyków, stanie się; czego pragnę iedynie.

P A N
WŁADYSŁAW.

ROZDZIAŁ I.

Już śniegi ubieliły ziemię, wieśniak, co w szczerém polu w czasie wiosny, lata i iesieni pracował, teraz odpoczywa przez zimę, tyle tylko zaięty, ile wymaga potrzeba użycia napełnionych latem sąsieków. Dzień choć tak mały, iego robocie wystarczy, noce zbyt długie aby ie przespać do świtu, cóż czynić żeby niezmarnotrawić czołowego cza-

su? Reiestra gospodarskie iuż dopełniłem; nie zawsze odwiedzamy sąsiada, nie zawsze kto do nas przyiedzie, cóż więc mam czynić? Czytać mądre księgi i niemi ukształcać rozum? Wszystkie, które mój księgozbiór składaia, iuż czytałem po kilka razy, mam nawet kalendarz tegoroczni Warszawski, a mój sąsiad kupił w Krakowie wydany, od deski do deski iużeśmy przeczytali obadwa, wiemy na pamięć dokładnie, kiedy i iakie będą zmiany powietrza, i do téy przepowiedni, obyśmy się tylko nie pomylili, mamy stosować gospodarstwo nasze. Cóż więc czynić? niech się każdy podług upodobania zatrudnia, ia pisać będę. Lecz o czym? Mamże prawodawcom rad moich udzielać, mamże głosić niedocieczone, a niczém niezbite prawdy, mamże pisać Tragedyą? Obywatelom na to wybranym, uczonym, poetom,

zostawiam tak chlubną pracę. Niech pierwsi przyczyniaią się do szczęścia kochanej oyczyzny, drudzy niech pomysłnie z bogacają nasz rozum, poeci niech porywają umysł, zachwycają duszę, niech uczą serce ludzkie litości i rozrzewnienia. Im to zostawiam, ja do ogółu nic przyłożyć nie zdołam, o sobie tylko samym chcę pisać, przypomnę sobie cały bieg moiego życia, zacznę od niemowlęctwa, błogie jest przypomnienie tak szczęśliwej przeszłości, kiedy to człowiek, nie łudzony od nadziei, sam bywa jeszcze nadzieją.

Urodziłem się na Podlasiu 1801 roku, ledwie miałem kilka miesięcy, babka moja Pani Sędzina wzięła mię z domu rodzicielskiego i przy niej, aż do dziewiątego roku życia, odbierałem wychowanie troskliwe. Dobra Jewka którą do mnie przyjęto, swój mi po-

karmi dawała, ona uczyła mnie chodzić, ona do lat dziewięciu nieodstępnie pielęgnowała, zawsze pod okiem kochanicy babki. Skoro tylko jesień nadeszła, drzwi na dwór dla mnie zamknięto, i aż do wiosny w ciepło ogrzonym pokoju siedziałem przy mojej opiekunce, nie domyślając się nawet, że tam inni ludzie, że tam dzieci mojego wieku, wystawione na mrozy, śniegi, wilgocie, doświadczają tak dolegliwych niewygód. Pokazała się wiosna, a później lato, iezlim szedł kiedy zbierać fiołki, albo zrywać truskawki, zawsze w towarzystwie poczciwej Jewki, w kapeluszu kobiecym, co na około przed słońcem zakrywał płęć moję.

Gdym już rok dziewiąty zaczynał, oyciec postanowił odwieść mnie do szkół. Już kilka razy chciał o tém powiedzieć babce, ale się zawsze cofnął,

bo się lękał zadać ię cios dotkliwy wspomnieniem rozdziału z kochanym wnuczkiem. Przemogła wreszcie potrzeba, zatrwożył ją tém oświadczeniem okrutném. „Władzia z początkiem roku szkolnego muszę odwieść do szkoły.” Na te słowa, odwieść Władzia, podobno ły w oczach stanęły Pani Sędziny, prawie ze łkaniem prosiła moiego oycy, aby do przyszłéy wiosny wstrzymał się ieszcze; wszak czas ieszcze nie upłynął, mówiła, na wiosnę będzie ciepłéy, znośniéy będzie Władziowi przyuczać się do niewygód i pracy szkolnéy. Przystał mój oyciec na to, lecz choć bliższy rozdział, musiał nastąpić koniecznic. Mimo też babki wziął mnie do siebie, dla przysposobienia choć cokolwiek w naukach, przyrzekł iednak, że naymniéy dwa razy w miesiąc przywiezie mnie do Pani Sędziny, a co tydzień doniesie o mo-

iém zdrowiu, i święcie przyrzeczenia dotrzymał. Zapłakany, pożegnałem babkę płaczącą. Jużśmy w domu stanęli, ia ze łzami w oczach moję matkę witałem, w progi rodzicielskiego domu szedłem iakby na wygnanie skazany. Bolało to moiego oycą, matka uczuła w prawdzie wstręt, iaki nawet ku rodzicom powzięła, ale przebaczyła mi chętnie, bo wszakże winny nie byłem, starała się uspokoić mnie, i tyśiącznemi pieszczotami, dawszy liczne pocałowanie otarła łzy moje, i obudziła w sercu nadzieie, że i tu kochać mnie będą. Lecz znowu mnie żal ogarnął, gdy już nazaiutrz zasiąść musiałem do książki, mozolić się nad poznawaniem głosek, których sam oyciec mnie uczył. Dzień po dniu przy elementarzu upływał, czasem tylko, gdy już zima nadeszła, dla zamocnienia z rówiennikami z sąsiedztwa, w towarzystwie oycą

chodziłem na przechadzkę. Błąkaliśmy się po polach śniegiem okrytych, ślizgawka i gonitwy były naszą zabawą. Nieprzywykły jeszcze do zimna, mniéj żwawy iak moi rówiennicy, naywięcéy zziąbłem, często z płaczem ku domowi wracałem, oyciec rozcierał mi zziębnięte ręce, pomału przyzwyczaisz się, mówił, że i tobie, iak nam, mróz wcale szkodzić nie będzie. Mało ia przecieź umiałem cenić tę wytrwałość, i wtedy byłem bardzo szczęśliwy, ile razy za wstawieniem matki nie poszedłem na tę opłakaną przechadzkę. Mimo częste odwiedziny, które mój oyciec albo matka podług przyrzeczenia ze mną w dom moiéy babki dopełniali, Pani Sędzina chociaż nigdzie oprócz do kościoła nie wyieżdżała, naymniéy raz w miesiąc była u nas, aby częściéy ieszcze oglądać swego kanaka. Lecz gdy razu iedne-

ge sama być nie mogła, wysłała do mnie Jewkę z koszykiem pełnym jabłek i pierników. Ledwom ją tylko spostrzegł, wybiegłem ku niéy, rzuciłem się iéy na szyję, dowiadywałem się o babkę, płakała z radości Jewka, ja iéy tuliłem się do łona, w tém zawołano mnie do czytania, musiałem odeyść. Przy książce ledwo mógłem dosiedzieć, nieuwaga dłużéy ieszcze zatrzymwała mnie przy niéy, przedłużał się czas pieszczot z kochaną Jewką, chwile kosztowania jabłek i pierników. Przecież skończyła się lekcyja, oyciec mój pojechał w sąsiedztwo, a matka domowém zatrudniła się gospodarstwem; miałem wtedy sposobność, z moim Aniołem Stróżem na osobności pomówić.

— Moja Jewko wy nie wiécie (między innemi mówiłem) u babuni lepiéy mi było, tu się i uczyć każą i cho-

dzić po śniegu, czasem ieść nie da-
dzą; moja Jewko weście mnie z sobą.

— Nie zaszedłbyś mój Władziu,
odpowiedziała; tyle mil drogi!

— Pamiętacie wy Jewko, iakeście
mnie nie raz po pokojach nosili; ja
wiem żebyście nie mogli nieść tyle
drogi, ale póki będę mógł, ja sam
pójdę.

— A Państwo co na to powiedzą?

— Jak iuż u babuni będziemy, nic
nam się złego nie stanie.

— Nie, nie można mój Władziu.

— To wy mnie tak kochacie, za-
wszeście to mówili, a teraz...

— No, no, iuż cię wezmę z sobą,
tylko nic nie mów.

Tu nagle smutek przemienił się
w radość; uśmiech wesoły, całowania
serdecznie Jewki, świadczyły co czu-
ło uradowane serce. — Niecierpliwie
czekałem nocy, przecie nadeszła. Nie

długo wszyscy się uśpili, ja pierwszy raz dopiero w życiu tak długo od snu wstrzymać się zdołałem. Jewka wierna przyrzeczeniu nie spała także; dwoje nas tylko czuwało, gdy wszyscy nie domyślając się zdrady, używali spoczynku. Wyszedłem z pokoju, nikt się nie ocknął, Jewka już była gotowa, a opakowawszy mnie na drogę, już miała ze mną uciekać, iużeśmy przebywali podwórze, gdy nas opadły czuyncy brytany, oboje ledwośmy nie umarli z przestachu, stróż nocny przyprowadził nas do dworu, poznali że to Władzio, poznali że to Jewka, ją nazajutrz odesłali po ukaranie do domu (ale pobłażanie zyskała), a ja, gdyby nie dobra matka, musiałbym być nie ieść obiadu.

Umiąłem iuż tyle, ile początkowy uczeń umieć powinien; iuż téż i wiosna się zbliżyła, iuż wszystko przygo-

towane było, aby mnie do szkół wyprawić; pożegnać się ieszzcze należało z kochaną babką, więc niebawem poiechaliśmy do nię. Łzy radości oblały lica Sędziny, skoro spostrzegła zaieżdzającego zięcia i wnuka, zapomniła o nadeszłej wiośnie, zapomniła że iuż trzeba się było rozstać na tak długo, i aż o cztery mile z nayukochańszym Władziem. Lecz iakże ię nieznośnie dowiedzieć się przyszło, że to ostatnie pożegnanie bydź miało, że Władzio iedzie do szkoły. Dwa dni upłynęły a ledwie mogliśmy się pożegnać. Pierników i sucharków dwie duże paki, bielizny podostatkiem, Luidor i kilkanaście złotych, mnóstwo łez rzewnych i nayszczersze błogosławieństwo składało moię wyprawę. Jużeśmy wyiechali za wrota, piastunka moia gonila mnie ieszzcze, niosła mi koszyk orzechów i trzy troiaki. Przyi-

muiąc ten dar rzewniéy ieszcze płaka-
łem, doświadczałem uczucia, iakiego
poić nie byłem zdolny, ucałowałem
ią serdecznie, ona mi błogostawiła,
w tém zaciął konie woźnica i musieli-
śmy się rozstać. Za parę dni iuż i
z domu iechałem do szkół. Mniéy rze-
wliwie rozstawałem się z rodzicami.
Matka nie długo piastowała mnie na
swoiém łonie, nie zgadywała chęci nie-
mowlęcia, oyciec krótko mnie wpra-
wiał do męskości, służący nie przy-
zwyczajili się ieszcze, wszyscy dosyć
obojętnie rozłączali się ze mną, matka
jednak ze łzami dawała mi błogosta-
wienie. Nareszcie oyciec i ia wy-
ruszyliśmy w drogę. Co chwila pyta-
łem się iak ieszcze daleko, aż nareszcie
pokazały się wieże, otóż i miasto,
rzekł mój oyciec. Niewiem czemu na
tę wieść biło mi serce gwałtownie,
mimowolnie wydzierały się westchnie-

nia. Już zachodziło słońce, kiedyśmy stanęli na miejscu. Odgłos trąbek pocztarskich pierwszy raz obić się o moje uszy, niewiem co się ze mną działo, przelęknieniem, żalem, bólem dziwnym napełniło moje serce, tuliłem się na łono oycy, śmiał się z boiaźni niewczesney — w reszcie wysiedliśmy; strudzeni podróżą udaliśmy się na spoczynek. Nazajutrz gdyśmy wyszli do miasta, oyciec pokazał mi i pierwszy raz widziałem Zamek, gdzie dawniey odbywały się Seymy, a teraz puszczyk tylko zagłuszając ten gmach cały, zdaie się bydz echem nieszczęśliwego *liberum veto*. Potem widziałem Szkołę Woiewódzką, powiedział mi oyciec że i ia tu mam się uczyć, ale mi na myśl nie przyszło, że tu brzoza szeroko władnąca i nademną swoją moc rozciągnie. W naypowabniejszych obrazach wystawiał mi zawsze oyciec

przyszłość szkolną, i mimo tęsknotę, którą wzbudzała we mnie pamięć na pieśczoły, na oddaloną babkę, dosyć z wesołą twarzą zapisywałem się w poczet uczniów. Oddał mnie oyciec do Professora i odiechał, a ja, nie ubiegł tydzień, poznałem skutki potężnéy brzozy; iak dawniéy pieśczoney, tak naówczas karany byłem. — To przeyscie uczyniło mnie naynieszczęśliwszém dziecięciem, przyłączyły się ieszcze do tego słabości częste, a mianowicie mocne rąk odziębienie. Żeby téż babka wiedziała o tém, pomyśliłem sobie niekiedy, gdym wyszedł z otrętwienia i obojętności, w którą mnie wprawili ustawicznemi kary, płakałaby zapeywne, ona nic nie wie, a Władzio taki biedny. Gdybym téż iéy doniósł, tego nie pozwolą zapeywne, i w saméy rzeczy. Taka bowiem u nas była forma pisania listów do domu. „Nayukochańsi

Rodzice! Dzięki Naywyższemu, zdrów iestem, (choćby był słaby) w naukach idzie mi pomyślnie, (choć się kto wcale nie uczył) na niczém mi niezbywa, (chociaż komu zbywało). Taki to list raz na zawsze ułożył Pan Dyrektor i wszyscy iego uczniowie, swoje uczucia i potrzeby do téy formy stosować musieli. Nic więc nie wiedzieli w domu, co się działo z biednym Władziem, aż nareszcie gdy mnie oyciec odwiedził, lubo się nie dowiedział o niczém, bom się obawiał opowiedzieć mu przygody moje, lecz przynajmniej poradziwszy się lekarza, wziął mnie słabego do domu. Dobroć iego oycowska, może pierwszy raz, ale naywymownięy przemówiła do serca, sam opatrywał odziębione rany i wkrótce też z pociechą iego, inatki i pani Sędziny, powróciłem do zdrowia.

Nieszczęścia równie iak pierwéy nie przestały się srożyć nademną. Gdy dopiero wdzięczna wiosna nadeszła, choć wśród moich przygód, na iéy powaby nie umiałem być czułym, to mnie iednak mocno cieszyło, że gdy iuż ciepła nastały, babka i matka mogły mnie częściéy odwiedzać, że mogłem pieścić się z niemi. Ta też iedyna była moja pociccha. Przyszło i lato, a nareszcie i Święty Jakób, po examinie roziechaliśmy się na wakacye. Dosyć było komiczne nasze z oycem spotkanie, gdy mu pokazał długi rachunek za książki, papiery i inne potrzeby szkolne, a w miejsce książek i papierów dwie okładziny. Na drugi rok, odmieniło się wszystko, nauki więcéy mi były dostępne, bystrzeysze poięcie, pamięć trwalsza, zaczęły iuż towarzyszyć mniey przymuszanéy pilności. Na popisie rocznym, publiczną odebrałem nagrodę. Wprzód

jeszcze nieco doniósł mój Professor
oycu o tym syna zaszczycie. Przyie-
chali rodzice, a lubo nie wspominali
mi o szczęściu iakie mnie spotkać mia-
ło, po bardzo łąskawém przyięciu, do-
myślałem się czegoś nadzwyczajnego,
iakoż nie płonne były domysły moje,
publiczną odebrałem nagrodę, i w try-
umfie, wśród błogosławieństw matki,
wśród ukrytęj radości oycy, iechałem
do domu świetniejszy ieszcze tryumf
wyprawić w obliczu babki, z Gazetą
w ręku, w której Władzio czernił się
wydrukowany. — Ale niestety! babka
moia już nie żyła.

W ten czas kiedy nieprzyjaciel sze-
rzył przestach po naszey ziemi, opu-
szczali mieszkańcy domy i maiątki. Tu-
łacze po lasach, ieszcze niedostępnych
orężom nieprzyjacielskim, chcieli z so-
bą życie unieść przynaymnię. Unieśli
je, ale z powróconym pokojem powra-

cając do domów, wnieśli z sobą chorobę. Mieszkając pod gołym niebem, wśród największych niewygód, wydani na wszelkie zmiany powietrza, na niedogodność miejsca, bo tam tylko było bezpieczne, gdzie nieprzyjaciół dalekie, musieli ulec skutkom, jakich to wszystko bywa częstokroć przyczyną. Pani Sędzina kilka lat niknęła w suchotach, i teraz wreszcie umarła. Matka moja wraz z mężem w tedy właśnie nie posiadała się z radości, gdy o mil kilka nieodżałowana spotkała ich strata, która prawie codziennym przypomnieniem zasmucała ich zawsze.

Zapłakać na wspomnienie straty tak drogiej, iedyną jest ulgą sercu, które kochało. Tyle pieśczot, tyle pieczołowitych starań, tyle prawdziwego kochania, zawsze mi cię najdroższa babko przypomną. Smutne wypadki życia, w porównaniu z tym najrozkoszniej-

szym porankiem, przypomną mi cię i tży wycisną.

Po wakacyach znowu powróciłem do szkoły, i kończyłem wszystkie w nich dawane nauki, aż do siedmnastego roku moiego życia. Znaczniejszym wypadkiem w czasie méy młodości najpierwszéy, iest zapewne powrót z niewoli Woyciecha, brata moiéy Jewki. Wtenczas pierwszy raz słyshałem w prostém iego opowiadaniu dzieie Legionów i ostatniéy potyczki Lipskiéy. Nie miałem więcéy iak lat przeszło dwanaście, i byłem na wakacyach. Już się żniwa i zasiewy skończyły, oyciec mój wyprawiał swoim chłopkom okrężne, przybyły Woyciech, pierwszy raz się wtedy pokazał. Jewka przyprowadziła go przed moich rodziców, późniéy mnie go stawiała, z radością powtarzała, oto mój brat, żyie, powrócił, i my dzieliłiśmy tę radość wierney i staréy sługi.

Już wiejska uczta się rozpoczęła, dziewczyny w bieli, w wiankach, we wstęgach wieniec pszeniczny, orzechów pełny przyniosły, skrzypek od ucha wygrywał tany, piwo i gorzałkę roznoszono pomiędzy chłopków, Woyciecha wszyscy naczelnikiem chcieli mieć zabaw, sam nawet Sołtys ustąpił mu pierwszeństwa, a Podstarości, pierwszy urzędnik dworu, w równi go z sobą szacował. Nie długo dały się słyszeć śpiewy, i Woyciech nucił narodowe piosneczki. Te między innemi:

Daleko ja byłem szukać drogiej straty,
Ranami okryty i zwałony laty,
Może ci dziewczyno do smaku nie wpadnie,
Mnie tam nie zaięły cudzoziemki ładne,
Wszystkiem je dla ciebie Salunin porzucił,
I tobie jak odszedł tak wierny powrócił.
Nagródź stałość moję, nie bój się siwizny,
Wszak godzien kochanki, kto bronil oyczyzny.

Byli pomiędzy wieśniakami niektórzy, co to krofilnie staraia się ba-

wić publiczność. Balcer, stary dworak,
śpiewał:

Zawsze moja Pani
Robotę mi gani,
A ja ię-y nie ganię
Choć chude śniadanie.

I Janek, pierwszy wsi parobek, szedł
w ślady Balcera, iego piosneczki, na
wszystkich wiejskich zabawach, mile
słuchają dziewczyny. Ta jedna z le-
pszych:

Pię ja se pię,
Ale nie za czyie,
Tylko za trzy grosze
Co w kieszeni noszę.

Dziewczyny także niekiedy śpie-
wały:

Padają listeczki, padają do wody,
Dziwnią się ludzie, że nie mam urody;
Choć nie mam urody, mówią że'm pocziwa,
Może da Bóg dobry i mnie przydą zniwa.

Ale skromne dziewczyny nie śmiały
odśpiewywać, gdy im czasem na przy-
ganę śpiewał który chłopek, np.

Popłyną, popłyną, młode rybki z wodą,
I ty też nie zawsze będziesz Zosiu młodą.

Te wszystkie piosneczki, poczciwa Jewka, dotąd jeszcze pamięta, bo ie sły-
szała w dzień tak miły sobie, w dzień
przybycia brata Woyciecha, dotąd ie-
szcze ie śpiewuie, a ia z przyjemnością
słucham iey często, bo w nich szcze-
rą i przystoyną widzę prostotę i natu-
ralność.

Lecz jeszcze nie skończyło się okrę-
żne, ale iuż dosyc się bawili, posze-
dłem więc do Woyciecha, prosiłem że-
by mi co powiedział o swoich wypra-
wach, zbliżył się i mój oyciec, a Woy-
ciech nam opowiadał. Jeszcze twarzy
czerstwość zachował, włosy iuż nieco
siwe, dwie krysy od szabli czoło zdo-
biły, na pół iuż zdarta krzyża wojsko-
wego wstążeczka, obok guzika, który
ieden jeszcze przy iego płaszczu pozo-
stał, świadczył, że ostatnią razą służył

w 6tym pólku piechoty, a iak sam powiadał i iego papiery przekonywały, które moiemu oyca późniéy pokazał, był umieszczony w kompaniach wyborowych, które razem z Krakusami pod Lipskiem walczyły.

Długo dosyć opowiadał nam Woyciech Legionów dzieie i bitwę Lipską. Z prostych iego opowiadań iuż mógłem się uczyć iak Polacy swoją ziemię kochają, i że to w obliczu Wybawiciela wystawiło ich godnymi imienia i swobód, które im ten wielki Monarcha powrócił i nadał.

Chociaż iuż ukończyłem szkoły, powróciłem iednak do tegoż miasta przy sposobiać się ieszcze prywatnie, gdy odiazd do Akademii wstrzymała śmierć moiego oyca, który w owym czasie przed półrokiem umarł, matkę i mnie sierotę w smutku pogrążył. W nim straciliśmy to wszystko, co w starannym go-

spodarzu, dobrym małżonku i najlepszym oycu tracimy. Już w ten czas zaczął być moim przyjacielem, już składał powagę oycy i zwierzchnika, nie nadużyć jego zaufania było moim staraniem, kochałem go mocniéj daleko, niż w ówczas, kiedym w nim służyć musiał tylko zwierzchnika. Wychowywany nie w domu jego, nie czułem wdzięczności ani przywiązania, serce nie przeczuwało, ani rozum nakłaniał. Dziecięciem tylko, albo już dojrzewiałym, umie człowiek kochać dobroczyńcę swego. Naucza doświadczenie, że wychowawcy niewdzięcznymi okazują się zwykle, gdy ich przysposabiający rodzice już w późniejszém dzieciństwie do swoich wprowadzą domów. Ale nie sądźmy ich przedwcześnie, późniéj umięą oni cenić, komu winni wdzięczność, a komu złorzeczenie, bo są dobroczyńcy mniemani, a dla tych niech

służą czcze oświadczenia, na próżnoby się spodziewali wdzięczności.

Moi dobroczyńcy, babka czuła i dobry oyciec już się w inne szczęśliwsze światy przenieśli, lecz i ja sam ieden nie zostałem na ziemi. Mam jeszcze najdroższą matkę, obok niéy umierać będę, a ieżeli przez całe życie mógłbym ją żadney łzy nie kosztować, nie żałowałbym bynajmniey tych, któreby nad moim grobem wylała.



ROZDZIAŁ II.

Wy, co dopiero zaczynacie poymować, iak błogą iest prawa miłość, dla których iéy powaby ieszcze są w pół pod zasłoną, których weyrzenie ulubionéy rumieni, uśmiech zachwyca, głos przenika, którym na iéy niespodziane wniście serce biie gwałtownie; powiedzcie, czy kochać nie iest prawdziwém szczęściem na ziemi? Wy, co iuż bliscy grobu, ieszcze tego szczęścia nie znacie; wy, co nieczuli na cnoty, na wdzięki téy płci, téy drogiéy połowy naszéy, nie umieliście ani kochać, ani wzajemności pozyskać, iakże was żałować trzeba? Wśród dostatku i blasku dostoięństw, ieszcze wam niedostawało kochanki. Zbliżyła się sta-

rość, związki małżeńskie nie łączyły was nigdy, któż ią wam dziś tak pielęgnować potrafi, kto tak starannie będzie zapobiegał słabości, kto w chorobie tak troskliwą ręką poda lekarstwo? Jakże więc nieszczęśliwi iścieście. Jam się przekonał, że prawa miłość jest szczęściem.

Gdym do miasta powrócił, już późna jesień zapowiadała rychłe zimy nadejście, już drzewa żółkłych tylko nieco zachowały liści, i te wiatr strącał północny; czasem iednak, choć nie długa, choć iesienna tylko zaiśniała pogoda, kto mógł, używał téy krótkiey chwili, co zdawało się wyobrażać mały promyczek pomysłności naszey, wśród nieszczęśliwych, lub przynajmniej niemiłych wypadków całego życia. W ogrodzie, który ieden tylko publiczny był w całym mieście, lecz był dosyć obszerny, wszyscy co mo-

gli używali przechadki, i ja tam byłem, była i owa w towarzystwie matki, którą tam pierwszy raz ujrzałem, która najpierwsza, miłość w moim sercu wznieciła. Chodziła po ogrodzie, w towarzystwie matki, nie spostrzegałem ich długo, dzieliło mnie od nich kilka drzew i krzaki agrestu, kiedy wietrzyk, przed którym nieznaïoma wuałem twarz swoją zakryła, stał się ostrym wiatrem, zerwał lekko zawiązany wual, uniosł i na gałązkach agrestu zaczepił; pobiegła za nim nieznaïoma, lecz ja wydobyty z cierni niósłem już do niéy. Uprzejme podziękowanie odebrałem w nagrodę, a uśmiech zachwycający, i łagodne weyrzenie, wznieciło w moim sercu boleść nieznaną, tak błogą, iak życie samo. Wyszły z ogrodu, i ja z daleka śledziłem je niepostrzeżony, aż do samego domu. Nazajutrz umyślnie przechodzi-

łem około ich okien. Uyrzałem moję
nieznaiomą, bo haftowała przy oknie.
Włosy iasne, uplecione iak od niechce-
nia, kształtna kibić, ręce kształtne i
wypieszczone, a szczególnięy przypo-
mnienie wczorayszego weyrzenia, wzbu-
dzało chęć, aby uyrzeć wzniesione oczy,
które ku igle zwracała. Lecz niepodo-
bna było czekać, ażby mnie spostrzegła,
ażbym zachwycił się widokiem tych
dwóch błękitnych pereł, kosztem iey
zarumienienia, a może i żalu za tak na-
trętne przyglądanie się nieznaiomego.
Za krótką oddaliłem się chwilę, posta-
nowiłem iuż odtąd, nie stać się winnym
takięy nieprzystoyności; chciałem na-
wet, ale o nięy zapomnieć nie mogłem
nigdy, wrócić do spokoyności iużem nie
zdołał. Jey wyobrażenia nie mogłem
zatrzeć w pamięci, zawsze ją widziałem
haftującą przy oknie, niekiedy wysta-
wiałem sobie, że zwróciła oczy ku

mnie, że mnie obdarzyła uśmiechem. Godziny iak zwykle, poświęcałem historyi, ięzykom i muzyce. W muzyce iuż dość postąpiłem, na flotrowersie wygrywałem dumki, stosowne do moich uczuć, a tzy wyciśnięte, rzewliwą instrumentu harmonią, niosły ulgę rozkochanemu sercu. Wkrótce, znowu mnie niespokoyność opanowała, porzuciłem flotrowers, biegłem szukać w ogrodzie moiey kochanki, ale nikogo, ani iey iuż nie znalazłem, wszystkich oprócz mnie zimno w domach zatrzymywało. Upłynęło iuż parę tygodni, nie mogłem dotrzymać sobie, poszedłem u okien domu, gdzie nieznaïoma mieszkała, choć z daleka pocieszysz się iey widokiem. Próżno się zatrzymuię, próżno wpatruię się w okna, iuż nie było nikogo, coby tak mile zachwycił; wreszcie postrzegam znak wywieszony, i poznaię, że

tu mieszkanie malarza, wchodzę pod pozorem kupienia iakiego obrazu, upatruję tymczasem, czy się nie pokaże dziewica, próżne moje oczekiwanie, ani iednéy kobiety, sam tylko artysta dokonywał rozpoczętego dzieła. Zwróciłem uwagę na iego pracę, zapytałem się, czyy wizerunek maluje? Chciałbym odmalować wiosnę powiada, nie mogę iey lepiej wystawić, iak w obrazie córki iednéy Pani, która przed kilką dniami w téy kamienicy mieszkała. Ona będzie wyobrażać tę porę roku, dam iey w rękę niezopominayki, a głowę w różę ubiorę. Niech ta wiosna do mnie należy, mówiłem. Skoro ukończę, rzekł artysta, będziemy mogli zgodzić się z sobą. Prosiłem go odcho- dząc, aby dokończył, że wielką mam chęć posiadać obraz téy, która iest wy- obrażeniem wiosny. Odszedłem pocie- szony, że przynajmniéy będę mógł

przyglądać się obrazowi moiéy kochanki, że choć przed iéy wizerunkiem przysięgać będę niezmienną stałość, że proźby, że łzy moje, cóż więc? o obłąkanie! że proźby, że łzy moje poruszą ią do litości, że wzajemność, że szczęście pozyskam, ale iakiż mnie smutek ogarnął, gdym sobie przypomniał, że ten obraz malowany iest tylko, że mi żadnéy nie przyniesie pociechy, owszem codzién nowym żalem napęlni serce, codzién nowe łzy wyciśnie, ile razy tylko nań spojrzę, ile razy sobie przypomnę, że nawet nie mam nadziei, że ią kiedyś żywą zobaczę. Mieć iednak obraz pragnąłem statecznie.

Upłynęło dni kilka, przybywam do malarza; wiosna iuż ukończona, w ozdobne ramy oprawna, w mieyscu naydogodnieyszém zawieszona na ścianie, za pierwszém drzwi otworzeniem za-

chwycęła znawcę i miłośnika. Zapła-
ciłem należność, poniesiono za mną
kochany obraz, kazałem go zawiesić
w moim pokoju. Codziennie kilka ra-
zy na dzień poświęcałem chwil kilka,
na przyglądanie się wiośnie; zamyśle-
nie, westchnienia, głos czasem, któ-
ry miłość natchnęła, towarzyszył mi
wtedy.

Dotąd parę wyrazów z ust iéy sły-
szałem, oczy niebieskie, te oczy, iak
błękit nieba omdlewające, a iak ten
błękit powabne, raz tylko na tak krót-
ko, z niechcenia tylko zwrócone na
mnie uyrzałem, nie zachwycęła mnie
jeszcze, ani w tańcu, ani przy klawi-
korcie, śpiew iéy naywdzięcznieyszém
brzmieniem nie zdumiewał mnie ie-
szcze i nie rozrzewniał; nie wiedzia-
łem, czy obok tych wdzięków, ma ie-
szcze serce cnotliwe, a iuż ią kocha-
łem; o ileż ten zapal prawdziwéy mi-

łości powiększyć się musiał, gdym się przekonał, że moja nieznaiona kochanka, połączy szczęśliwie z pięknnością ciała duszę piękną.

Razu iednego, gdy po długim graniu na flotrowersie, melancholicznie wpatrywałem się w wizerunek kochanej wiosny, wszedł do mnie ubogi człowiek, prosił o wsparcie, co mogłem dałem biednemu starcowi; gdy mnie błosławił, spostrzegł obraz i rzekł:

— Oby ta naycnotliwsza istota, mogła być twoją młodzieńcze.

— Czyż ją znasz dobry staruszk?

— Znamy ją wszyscy ubodzy.

— Więc ona iest litościwa?

— Litościwa i dobroczynna, oby całe iey życie było tak pogodne, iak iey naypogodnieysze sumienie. Odszedł staruszek; moje życzenia połączyłem ziego błogosławieństwem, kochałem ją, iak

tylko kochać możemy; długo iednak cieszyłem się tylko iéy obrazem, a raczém długo nie miałem nadziei, że kiedyś poznam moię naydroższą kochankę.

Gdy iuż zima nadeszła, Pani Mirczyńska, moja krewna, młoda ieszcze wdowa, przybyła do miasta przepędzić tę porę roku, wśród redut, kasyn, wieczorów i t.p. Dowiedziawszy się że przyjechała, odwiedziłem ją wkrótce. Bardzo mnie mile przyięta, prosiła abym w iéy dom uczęszczał, że znajdę zawsze towarzystwo, w którym czas wolny przepędzić będę mógł przyjemnie. Korzystałem z zaprosin, i nigdy nie minąłem iéy domu. Jednak ciągłe zamyślenie, wzdychania, niekiedy krótkie odpowiedzi, zdradzały mnie w oczach Pani Mirczyńskiej, prześladowała mnie, a lubo nie chciałem się przyznać, doznawać tak miłego prześladowania, chciałbym był co chwila,

to więc samo, zachęcało mnie bywać iak najczęściéy u moiéy kuzyny. Nie długo po przyjeździe ze wsi dawała wieczór, i ia byłem proszony. Przybywam, iuż dosyć osób zastaię, a znaywiększém zadziwieniem i radością poznałem między niemi i tę, którą ubóstwiałem oddawna. Pani Mirczyńska przedstawiała mnie swoim gościom, a naprzód Pani Stateckiéy, matce piętnastoletniéy Amelii, o którém imieniu tu pierwszy raz się dowiedziałem. Zebra-
ne towarzystwo w wdzięcznéy harmonii ożywiały tańce, śpiewy, muzyka i gry różne. Amelia celowała we wszy-
skiém, każde iéy poruszenie było powabne, ile razy spojrzęła, serce moie, tkliwym ściśnione bólem, cierpiało, a przecież błogostawiło bólowi, rumieniłem się iednak, odwracałem oczy, i choć mi nayprzyjemniéy było spotykać weyrzenia Amelii, chroniłem się iednak

widoku, którego urok najpowabniejszy, zaciemniał oko ieszcze nie wprawne. Ledwo przy wieczerzy dopiero, przypadkiem około niej siedząc, odważyłem się iey powiedzieć, że ia to sam iestem, który na agreście zaczepiony wual podałem. Cieszy mnie, iż kuzynowi domu, z którym żyjemy w przyiaźni, winnam tę grzeczność, odpowiedziała Amelia. Umilkłem, ukłonem tylko podziękowałem, przesuwały mi się ustawicznie po myśli te wyrazy, które co dopiero wyrzekła, raz brałem ie za najpomyślniejszą wróżbę, drugi raz nic sobie obiecywać nie mogłem. Żywiey ieszcze odmalował się iey wizerunek w moiej wyobraźni, serce gwałtowniejszych wzruszeń doznało. Włosy iasne uplecione w warkocz, skromnie grzebieniem zapięte, na czoło rozdzielone dwa ich promienie w zawiłaniach spadały. Oczy błękitne, te nie-

ba dla serc czułych, twarz nieco ściągła, tak biała, iaką tylko jest białość, tak świeża, iak naypogodniejszy w Maiu poranek, rumiane iak koral usta, ale powabniejszye iak koral, bo z nich życie i rozkosz zdawały się rodzić, czarować i zachwycać duszę. Suknia biała, białą przepasana wstążką, okrywała tę naykształtniejszą kibić, a u piersi skromny bukiet hyacynctowy, kończył skromny ubiór Amelii. Taką już odtąd w moiém sercu nosiłem.

Lecz teraz u Pani Mirczyńskiéy bywając, często oglądać miałem sposobność moię drogą kochankę. Długa znajomość zbliżyła mnie do niéy, już śmielęy z nią rozmawiałem, lecz o pogodzie zapewne. Żadnéy iednak nie opuściłem sposobności, aby się iéy podobać, radbym był zgadywać myśli, uprzedzać chęci; lecz choć ją już znałem pół roku, choć ją oddawna i tak prawdziwie

kochałem, nie miałem dosyć odwagi wyznać przed nią zbyt dolegliwą sercu tajemnicę. Niekiedy mój doświadczony przyjaciel Xawery, znany dobrze całemu domowi Państwa Stateckich, a podobno kuzyn daleki, zanosił Amelii moje wierszyki, któremi chciałem uwielbić ię wdzięki i cnoty, miłość wprowadzie ie natchnęła, nie wiem jednak czy odpowiedziały natchnieniu, Amelia zawsze ie grzecznie przyięła. Rumieniła się skromność, lecz przyjemnie było sercu, lubo dalekiemu próżności, przecież ludzkiemu. Nie mam słów, abym podziękowała, tę mi raz luby Xawery zwiastował odpowiedź, gdym ię przez niego posłał rozmaite śpiewy, które chociaż nie były francuzkie, lecz polskie tylko, dla prawey Polki zawsze powabne, zawsze uymuujące iak Karpińskiego Laura, mogły się podobać niewinnęy Amelii. Ta odpo-

wiedź utkwiała głęboko w moiej pamięci, często z nayżywszą pociechą odzywała się w duszy, a niekiedy wydziełała się z ust mimowolnie. Nie mam słów, abym podziękowała, powtarzałem uniesiony rzewną radością. Lecz gdy mi sama osobiście o tym napomknęła podarku, rumieniłem się, i ledwom się zdołał przyznać, że odemnie miała te pieśni. Mogła się iednak domyślić, żem pałał ku niéy miłością, którey żadne nie skaziły udania. Dosyć często bywałem w domu Pani Stateckiej, (mąż iéy mieszkał dla inieressów w Berlinie), zawsze uprzejmie mnie przyymowano, i nigdy tam natrętnym gościem nie byłem. To przynajmniej nagradzało moię miłość prawdziwą, dobiiać się o tę nagrodę, iuż było dla mnie szczęściem. Lecz Pani Statecka, zawsze była przytomna; szeptać ieszcze nie umiałem na tedy, głośno nie śmia-

łem iéy nic powiedzieć, po kilku potocznych rozmowach, z niczém trzeba było wracać do siebie.

Lecz wytrwałość często nagrodzoną bywa. Razu iednego przybywam, Pani Stateckiéy nie było, Amelią tylko zastałem, grała na klawikorcie w drugim pokoju, nucąc ieden ze śpiewów Niemcewicza. Gdy przyszła na wiersz: *Niebieskie oczy serce mu zraniły*. Ucichła, mocne westchnienie, świadczyło, że już iakaś niespokoyność w niewinném sercu powstaie. Spiewała znowu nie przerywając aż do wiersza: *Niebieskie oczy przyięły go mile*; tu znowu umilkła, zamyślona, w chwil kilka ledwie śpiew kończyła, w reszcie powstała od klawikortu, a westchnienia aż do pierwszego pokoju towarzyszyły niewinney. Tu mnie spostrzegła, po przywitaniu obo nie długich oboiętnych roz-

mowach, po nieco dłuższém milczeniu, Amelia tak mówiła:

— Jaka szkoda, już opuszczamy to miasto. — Jakby z uśpienia porwany:

— Panie opuszczacie to miasto?

— Wkrótce, może za tydzień.

— Dokąd? na długo?

— Daleko i podobno na zawsze. Mój oycie wygrał sprawę, odebrał majątek, będziemy teraz mieszkać w Berlinie.

— Połączyć się z oycem, wyrzec go po tak długim niewidzeniu, co za rokosz dla córki! Bez żalu, chętnie nas pani porzucisz.

— Umiem ja cenić szczęście, iakiego doznaie córka, w objęciach oycy, gdy po tak długim niewidzeniu, znowu go uyrzy, ale złe miałabym serce, gdybym bez żalu mogła tych żegnać, z którymi tyle dni przepędziłam tak słodko, którzy mają prawo do moiej przyjaźni.

— Więc Pani nie zapomnisz ich nigdy? obyś choć raz w życiu o mnie wspomniała!

— Zawsze pamiętać... tu rumieniec okrył twarz Amelii, milczeliśmy, po chwili ona:

— Jaka dzisiay pogoda.

— Tak, pogodne iest serce Pani, moie smutki przepelnia.

— Cóż Pana może zasmucać?— Ja chociaź wkrótce mam uyrzecz kochanego oycy, iego szczęściem się cieszyć, przecieź radości, moie serce czuie.

— Pani stąd się oddalasz daleko i na zawsze, a ia nieszczęśliwy, czyź ia uyrzecz choć raz w życiu, nie mamże smutku przyczyny? Wkrótce rozpaczać mi przyydzie!

— I Pan płaczesz, nie płacz, tu sama zalała się łzami. Klękam przed nią. Pani ia ciebie... łkania nie pozwoliły dokończyć, ale łzy wymowniejsze nad

słowa, dały iéy zrozumieć, iż chcę iéy powiedzieć, że ją kocham. Tu pierwszy raz z ust moich słyszała wyznanie, którego iéy sympatyzujące z moiém serce odddawna się domyślało. Podnosi mnie klęczącego; uważam cię iak mego brata, mówiła, tak jesteś dobry, lubię cię, bardzo cię lubię; ach! może więcéy ieszcze iak brata.

— Amelio (iuz zaufańszy) mówiłem, Pani w krótcie stać się oddalasz, lubo ia nie zapomnę cię nigdy, ten iednak wual, co pierwszy raz dał mi cię poznać, niech odtąd do mnie należy, w nim będą dla mnie skarby całego świata, w nim moje nadzieie, moia przyszłość i szczęście. Jeżeli Niebo-pozwoli, że bym cię kiedyś zobaczył, ieżli pozwoli, przekonasz się Amelio, że ia wiernym ci był zawsze, że dochowałem pamiętki droższey mi nad wszystko. Ode mnie chciéy przyjąć te tylko wiersze,

lub papier, może czas zniszczyć nie długo.— Nigdy, sam nawet czas nie zniszczy, przerwała mi Amelia. Odebraliśmy nawzajem nasze pamiątki, ona te wiersze:

Najpiękniejsze dni młodości
Obok ciebie mi płynęły,
Jako szczęście przeminęły,
Jak wąż siatki pałęce.
Przykra pamięć się została,
Same tylko dziś wspomnienia,
Ale twoje wyrzeczenia
Cieszę mnie, że lędziesz stała.

Ona przeczytawszy te wiersze, do imiennika złożyła, ja z sobą wual uniosłem, i pożegnałem Amelią w nadziei, że przed odjazdem jeszcze ją będę mógł widzieć.

Upłynęło dni kilka, każda noc bezsenna; stawiała mi na pamięć Amelią tylko; w dzień i obok innych zatrudnień, cała myśl moja nią była, wszystkie miejsca nią zapełnione. Raz gdy

zdiąłem wizerunek wiosny ze ściany, tuliłem go do łona, stroiłem w darowany wual, całowałem usta, wyobrażając sobie, że wzajemne pocałowanie odbieram; wchodzi lokaj Pani Stateckiej, długo niespostrzegłem go, a on przypatrywał się nic nie mówiąc, wreszcie biorąc mnie może za szalonego, przeląkł się i już spiesznie odchodził; łoskot przy nagłym drzwi otworzeniu, wyrwał mnie z omamienia, zakryłem wuałem obraz, pobiegłem za służącym, wstrzymałem go, z przestachem wrócił się i oddał mi bilet proszący mnie na jutrzejszy wieczór do Pani Stateckiej, ledwie go oddał śpiesznie wracał do domu.

Dosyć tu śmieszności, wpada w nią miłość najpierwsza, ale ma zawsze coś serdecznego, i często w miejsce rozśmiania, każe nam się rozrzewnić. Nadszedł wieczór, szedłem posępny, zamy-

ślony, bo ten wieczór już miał być dla mnie ostatnim. Dawniey rzewliwa radość przepełniała serce moje, gdym szedł widzieć Amelią, bo nie ostatni raz miałem ją widzieć. Przycho-
dzę, jużem zastał towarzystwo licznie zebrane. Starsi rozprawiali poważnie, młodzi obok swoich bogiń zamawiali ie do tańca, obmawiali innych, lecz niewinnie i niekiedy dowcipnie, roz-
weselali się nawzajem, przysposabiając się nieiako do zabaw, które się rozpo-
cząć miały. Gdym witał Panią Statecką, rzekła do mnie uprząmie: Pra-
gnęłam przed wyjazdem mieć u sie-
bie wszystkich przyjaciół, bardzo ie-
stem wdzięczna W Panu, że chciałeś
do nich należeć. Do nich należeć, pra-
wdziwém dla mnie szczęciem, naywyż-
szym zasczytem, odpowiedziałem; w tem
weszła Pani Mirczyńska, Pani Statecka
zbliżyła się ku niey, a ia postąpiłem

między goszczących. Na twarzach całego grona iaśniała wesołość. Jedni zupełnie ieszcze mieli serca spokojne, drudzy co iuż kochali, nie smucili się rozłączeniem z ulubionemi, codzień ie widzieć, codzień przekonywać o stałości mieli sposobność, mogli się cieszyć wzajemnością, albo przynajmniéy nadzieią, że kiedyś staną się godni tego szczęścia. Ja sam ieden tylko pogrążony w smutku, nieśmiałem okiem upatrywałem Amelii. Uyrzałem ją, siedziała w gronie swych towarzyszek, zabawiając ie rozmową. Zbliżyłem się, na ukłon wzajemnym odpowiedziała ukłonem, iéy oczy w spotkaniu z moimi, zatrzymały się chwilę, kto inny byłby w nich dostrzegł niespokoyność i pomieszanie, ja widziałem tylko dwie błękitne zrzenice, a serce moje biło gwałtowniéy.

Wkrótce polonez otworzył wieczór, Pan Staropolski Szambelan, z Panią Statecką, dalej Starszyzna, młodzież w reszcie; Amelia już miała parę, z inną więc stanąłem do zataczającego się koła, aby należyć do tego narodowego tańca, którym już teraz prawie wszystkie dwory Europejskie rozpoczynają swe uczyty. Po skończonym polonezie, ochocza młodzież do mazura stanęła, tu już nie dałem się wyprzedzić, Amelią wybrałem. Wesoła i wdzięczna muzyka, zdołała na chwilę przytłumić smutek; Amelia piękną postawą, letkością w obrotach, kształtném nóg posuwaniem, zachwycała każdego. Walc, kotyłon, polonez, mazur, anglez naprzemian nas zabawiał, gallopady w ten czas jeszcze nieznano. Pani Mirczyńska, gdy z nią poloneza tańczyłem, pytała się co ma znaczyć ten obraz, w który tak pilnie wpatrywałem się wczoraj

który całowałem, mówiąc z nim iakby z żywą osobą. Zarumieniony domyśliłem się że lokaj w przytomności moiej kuzyny musiał opowiadać przed Panią Statecką tę scenę, której był świadkiem. Nie wiedziałem iak się tłumaczyć, w tém odbił Pan Staropolski i wybawił mnie przecie.

Ile razy na tym wieczorze mówiłem z Amelią, odiazd był celem naszey rozmowy. Amelia pytała się także czyy był ten obraz. Ten obraz jest wizerunkiem wiosny, mówiłem, w postaci twoiej Amelio. Nie długo potém, iakem cię pierwszy raz widział w ogrodzie, ten obraz do mnie należy. Ulgą w cierpieniach, a czasem staie się przyczyną moich udręczeń; iednak gdy się z tobą rozłączyć muszę, z obrazem nie rozłączę się nigdy. Prawda, musimy się rozłączyć, ale miéyny nadzieię, {odpowiedziata. Westchnieniem mógłem tylko odpowie-

dzieć; — tu, prawie ostatnia była nasza rozmowa. — Po jutrze, już Pani Stateckiej, już Amelii nie było, i ia wkrótce powróciłem do domu, unosząc z sobą miłość i boleść.

ROZDZIAŁ III.

Matka moja w ustroniu wiejskiem ukryta, niebłyszcząca wśród świata, miała ciągłym zatrudnieniem dobroczynność i prace domowe. Sąsiedzi szanowali w niej dobrą przyjaciółkę, sierota bez przytułku u niej znajdowała schronienie, biedny kmiotek zawsze ulgę i pomoc, a ja ileż rad dobrych, które mi łagodnie i skutecznie na prawą nie raz naprowadzała mnie drogę. Nigdy nie tałem się z niczym przed moją matką; zapobiegła ona zrodzeniu się we mnie skrytości, nie wyśmiewając moich zwierzeń niekiedy śmiesznych, nie karcąc mnie surowym i odstręcającym sposobem, ale przyjacielskimi uwagami i powolnemi rady zyskując we

mnie zaufanie naywyższe. Skorom powrócił do domu, natychmiast wyznałem przed nią, że moje serce już nie jest wolne, że od zatrudnień, myśl inna, myśl mnie ciągnęła odrywa, że bez Amelii nie potrafię żyć dłużej. Zasmuciło ją to wyznanie, bo niespokojność co moje serce opanowała, zdawała się niebezpieczną, mogącą wstrzymać dalszy postęp w naukach. Ile razy sam na sam znajdowała się zemną, tyle razy starała się mnie przekonać, iak ta miłość była niewczesną. Przyidzie czas, mówiła, Amelia może być twoją, dziś bardzo młody, ona nie chciałaby cię zapewne, bo ieszcze nie wiele umiesz, bo ieszcze sam siebie pewny nie iescieś. Zamieszkując ożeniony na wsi, jużbyś nieiako do obywateli należał, żeby zaś być obywatelem, więcéy lat, więcéy nauki i doświadczenia mieć trzeba. Wtedy dopiero można być użyte-

cznym; być zaś nieużytecznym, i tybyś się sam wstydził zapewne, tybyś żałował, żeś nie słuchał rad moich, a możebyś na mnie narzekał, że ci zostawiła do woli. Gdy skończysz wyższe nauki, a Amelia ieszcze wolną będzie, wtedy, jeżeli to prawdziwe twoje szczęście ma stanowić, dam ci moje błogosławieństwo.

Był już Wrzesień, pojechałem więc do Warszawy, a nawet obraz Amelii, musiał się w domu pozostać, za trzy lata dopiero wolno mi go było wziąć z sobą. Już istniał Uniwersytet Warszawski, doń uczęszczałem na Wydział Administracyi.

Upłynęły mi trzy lata z dosyć pomyślnym powodzeniem. Coraz więcej przekonywałem się, że moja matka prawdę mówiła, a lubo nie zapomniałem o Amelii, nie przeszkodą, owszem pobudką była mi do nauk, bo przez nie, mia-

łem się stać godniejszym iéy ręki. Rok czwarty zostałem się ieszcze dla poznania ludzi i świata. Lecz iuż była pora dopomnieć się u Amelii, o ponowienie przynajmniey tych nadziei, któremi mnie przed czterma laty przy rozstaniu cieszyła. Wyznałem listownie Pani Stateckiey moje zamiary, lecz mój list został bez odpowiedzi. Kilka razy pisałem, spodziewaiąc się, że Pani Statecka choć na ieden odpisze. Tymczasem gdym iedynie dla ukształcenia się powierzechownie i poznania harakterów ludzi, o ile to być mogło, bawił w Warszawie, miałem listy polecające od godnych osób, te otworzyły mi wstęp do wielu domów, bywałem i w resursie kupieckim. Resurs ma podobno po więkšej części na celu, narady względem interessów handlowych, lecz obok tego mieści się prawdziwa zabawa, iest to zbiór przyzwoity wszelkiego rodzaju

rozrywek; iest to mieysce, do którego uciec się komu iest wolno, prawdziwą może znaleźć przyjemność. Sale przeznaczone do tańca, są ozdobione portretem wiekopomnéy pamięci Alexandra, otaczające go symbola, są godłem iego wielkości i dobroci. W sali czytelnéy, na stole, sukniem zieloném pokrytym, leżą pisma peryodyczne, krajowe i za granicą wydawane, ustawy towarzystwa, księga do zapisywania imion wprowadzonych gości, i dzwonek do przywołania w potrzebie służby. W szafach ustawione w duże księgi zebrane z dawnych lat Gazety, Dzienniki i t. p. Na ścianach wielkie karty ieograficzne, naydogodniéy skreślone. Sala poboczna, iest salą ger, w niéy na stolikach złożone są szachy, warcaby i inne, a ozdobą tak, iak i bilardowéy sali są wielkie zwierciadła; tam także na ścianie lista imienna członków resursu. Na

nię pierwsze imiona wyczytać można, lecz ktokolwiek ma dobre obyczaje, ktokolwiek znajdować się w tak pięknym towarzystwie potrafi, gdzie grzeczność, uprzejmość, zgoda, najpierwszą jest koniecznością, taki może znaleźć miejsce w tym gronie. Tam poznałem Pana Nowiniarskiego, który z Berlina co dopiero powrócił, pytałem go o Państwa Stateckich, mówił że ich zna dobrze, że zdrowi, że im się dobrze powodzi, że — lecz wolałbym nigdy o tym nie słyszyć, że ich córka jest już żoną i matką. — Ta wieść zaćmiła moją świetną nadzieję. Już więc, już nigdy obok nię, bez nię na zawsze, o jakżem ja nieszczęśliwy, powtarzałem ze łkaniem, z resursu do mieszkania wróciwszy. Amelii iednak nie obwinałem bynajmniej. Tyle mił rozdzieliło nas z sobą, sądziła może że już na zawsze, może rodzice wybrali

ię takiego małżonka, za którym szczęście tylko ją czeka; w reszcie nie było uroczystych przyrzeczeń, może zwątpiła, że ia potrafię być stały przez cztery lata, przez czasu przeciąg tak znaczny. Tak ją uniewinniałem, a wizerunek wiosny, ten prawdziwy ię obraz, zasłoniłem muślinowym wualem, kazawszy wyszyć na nim czarno te wyrazy: *daleko i na zawsze*. Ile razy spojrzałem na ten napis, tyle razy widziałem zawiedzione nadzieie, tyle razy chciałem iść, gdzieby mnie rozpacz poniosła.

Ale, czas i okoliczności dają niekiedy zapomnieć o tém, dla czego i życie poświęcić niczem się dla nas zdawało; zapomina i o tém, o czém nigdy zapomnieć nie powinienby człowiek.

Gdy już rok czwarty upływał mego pobytu w Warszawie, w iednym domu poznałem także Amelią, i pa-

miątkę tamtéy nią odnawiałem w mém sercu. Równie zdawała mi się dobra, nawet podobno niektóre rysy iéy twarzy, tamtéy mi obraz przypomniały. Lecz długo odnawiałem tylko pamięć pierwszéy Amelii, która nigdy mi iuż być nie miała. Gdy raz do domu Pani Polomieyskiéy przybyłem, Amelia czytała książkę, iaką, iuż nie pamiętam, zastałem ją rzewnemi łzami płaczącą. Łzy w oczach kobiety, którą młodość ożywia i do wesołości zachęca, łzy poświęcone litości, tak są wymowne, tak tkliwe, że wątpię iżby ktoś nie znalazł się taki, coby ich z nią nie dzielił. I mnie łzy w oczach stanęły, czemuż niestety! na łzach się nie skończyło. Odtąd codzien mocniejszego nabierałem do niéy przywiązania; odtąd, aby się iéy podobać, nie szczędziłem niezego. Lecz aby się okazać przyzwóicie, trzeba było żyć nad mier-

ność. Odbywałem z moimi damami przechadzki, jeździłem w pobliskie okolice Warszawy, niekiedy bilet do Łoży przyniosłem, myśląc sobie, że gdybym i dług zaciągnął, będę go miał czem późniéj zapłacić. Nie długo, nie długo przekonałem się, że to nie była owa Amelia, córka Pani Stateckiéy, Amelia tak niewinna i tak cnotliwa; wkrótce poznałem że mnie zdradzono, iednak iuż po czasie było! Amelia miała wszelkie sposoby ułudzeń, żal, płacz, wesołość, iakby na iéy rozkazy rolę Amelii urozmaicały, umiała trafić do mego harakteru, przeistoczyła się w tkliwą, a ja zacząłem wierzyć i kochać. I ona tysiąc razy przekonywała mnie o wzajemności, lecz tysiąc razy zdradziła, łatwowiernego bez doświadczenia. Ja nie dociekałem zdrady, ieden znaiomy upewnił mnie, że ona iuż ma kochanka, którego w tenczas

przyymują, kiedy mnie nie ma. Nie dałem wiary téj wieści, zgromiłem donosiciela, ale iakże mnie upokorzył, gdy widząc, że iuż tam wchodził nowy kochanek, mnie nic nie mówiąc, poprowadził z sobą; gdy bez annonsowania weszliśmy, niespodziewani i niepostrzeżeni, wtedy pokazał mi iak tamten w drugim pokoju, klęcząc u nóg Amelii, odbierał przyrzeczenia te same, które ia odbierałem. Nie przeszkadzałem czułéy parze, nie podglądałem ich dłużej. Lecz że w ten dzień miałem wyprawić podwiczorek, dałem słowo, cofnąć ie, nawet zdradzony nie chciałem. Przybywam więc nieco późniéy, iuż Amelia z matką i siostrą, ich przyjaciółki, kilku przyjaciół domu, iuż wszyscy byli w oczekiwaniu, nie bawem więc po moiém przyysciu, poiechaliśmy na Saską Kępe. Do mieysca gdzieśmy się przeprawiali, przywiozły

nas dwa koczce, które ja najałem, tam wysiedliśmy, a przewoźnik przybił galar do lądu. Pan Jan wprowadzał matkę Amelii, Pan Józef ię siostrę, inni inne, Amelia wsparta na moim ramieniu wstępowała na statek. Z łzą w oku przypatrywała się naturze, lecz widok głębokię przestrzeni Wisły, nie przerażał ię mówiła, bo ma obok siebie towarzysza, z którym wszystkie niebezpieczeństwa zniosłabym śmieie, przy którym śmierci się nawet nie lęka. Ucałowałem ię rękę, podobno dla grzeczności, chociaż nie szczerze musiałem to uczynić, westchnąłem, lecz nie uczuciem wdzięczności natchniony, tylko z zadziwienia nad tém, iak dalece nie dobra Amelia ludzić umiała. Na Sasakię Kępie, przednie kurczęta, małaga i szampan składały podwieczorek; ostatni Luidor, pamiątkę po narydroższéy babce, zmienił wexlarz, gdy trze-

ba było dopełnić ilość na wyprawienie podwieczorku potrzebną. Lecz też do siebie już powróciłem bez grosza, następny już dzień przyszło nie ieść obiadu. Z zasępionem okiem widziałem słońce, iak wschodziło pogodnie, bo to słońce tyle godzin miało przyświecać, a ja dzień cały, a może tydzień, a może dłużéy ieść nie miałem nadziei. Skrzętny wyrobnik już zarabiał na chleb, piękność nie iedna przechodziła się po ogrodzie, aby nayświeźszego użyć powietrza; człowiek czystego sumienia z radością witał słońce, nowe przygotowywał ludzkości dary, nie zatrwał go dzień upłyniony, bo wszystkie dnie iego na szczęśliwą przyszłość składają mu się od lat dziecinnych. Ja odwróciłem oczy od wschodzącego słońca i ieszcze na parę godzin usnąłem, ale dłużéy niepodobno było zasypiać. Podniosłem się — przejrzałem wszystkie

kryiówki, gdzieś kiedyś chował pieniądze, ani śladu gdzie bywały, ani nadziei posilenia.— Xawerego nie było w Warszawie, był on wtedy Oficerem, a choć już woyska do obozu ściągnęły on za urlopem na zimowych leżach pozostał, gdzie go luba Leonora zatrzymywała. Gdy już obiadowe godziny nadeszły, gdy każdy miał się posilać, ja spełniwszy szklankę wody, poszedłem do Saskiego ogrodu, czytać Doświadczyńskiego przypadku. Usiadłem na ławce pod cieniem gestwiny, a gdym zastanawiał się nad dziełem, co niekiedy choć cokolwiek podobny do mnie obraz stawiało, przerwał mi zamyślenie głos w ówczas dla mnie zbyt przykry.

— Choćby trzy grosze z lituy się Pan nademną.

— I grosza nie mam, odpowiedziałem.

— Żona moja, kilkoro dzieci z głodu umiera; choćby na kawałek chleba.

— Och! czemużem aby trzech groszy nie zachował na dzisiaj. I tu podniosłem oczy, a w miejscu spodziewanego nędzarza, spostrzegłem porządnie ubranego człowieka. Prosiłem aby usiadł i swoją niedolę mi opowiedział; siadł i po zwyczajnym wstępie, tak mówił: Miałem majątek, podzieliłem go z żoną. Uboga, lecz nayszczęśliwsza, dotąd jest mi iedyną ulgą, a razem do rozpaczj mnie przywodzi, bo gdyby moją żoną nie była, nie cierpiałaby może. Miałem więc kiedyś majątek, woyna zaczęła, ogień zniszczył zupełnie. Służby nigdzie dostać nie mogę, żebrać więc muszę. Ja nie mogłem mu nie wyznać także mego wypadku, lecz razem przekonałem się, że bez porównania więcéj zasłużyłem na przykre położenie, iakiem porwszy raz dotknięty zostałem.

6*

Za nami gęstwina tylko przedzielony, spoczywający po długim iściu za kwestą, siedział oyciec Kapucyn; słyszał dobrze naszą rozmowę, uięty smutnym położeniem naszym, zbliżył się i łagodnym głosem przemówił: „Ktokolwiek iesteście, pójdźcie, u nas w klasztorze znajdziecie pożywienie, żyjemy z Opatrzności, podzielamy się nią z bliźniemi.” Niebo zsyła dla mnie swoją Opatrzność, rzekł mój towarzysz, ale moja żona i dzieci? Na to Zakonik, i dla nich pošlemy jałmużnę. Więc udaliśmy się na obiad. W dużej izbie, gdzie wszystko oddychało czystością, przy stole obszernym siedzieli ci nayszanownieysi Zakonicy. Nie było tam ponuro, chociaż między ludźmi co się wyrzekli świata, owszem nie udana wesołość na każdego twarzy iaśnieie, spokojne sumienie, zdaie się że tam obrało siedlisko każdy szczęśliw

z powołania przepędza dni w pogodzie, zaięty dobrém i zbawieniem bliźnich. Wzawa i opilstwo nie rozlegało się nigdy w tym domu świętym, a cnota, i bogoboyność nie oddaliła się nigdy. Po smacznym choć skromnym obiedzie, po poobiednięj modlitwie, pożegnałem ich uprzeymie, a mój towarzysz otrzymał posiłek dla swoiëj rodziny, przyrzekł mu ieszcze przełożony, że go przy jakim znakomitym dworze umieści, co też wkrótce uskutecznił.

Gdym powracał z obiadu, myśląc o zbliżaiącym się dniu iutrzeyszym, napotkałem szczęśliwém zdarzeniem Woyciecha, brata moiëj Jewki. Ledwie go poznał, porządnie przybrany wracał z zalotów. Dowiedziałem się od niego, że późniëj zasłużony uzyskał retret, a przybywszy do Warszawy, na-przód mały szynk założył, późniëj więk-szy, a dziś utrzymuie traktyernią. Ró-

żni u mnie bywają, mówił, iedni miesięczni, drudzy przybywający mniey maiętni podróżni, a czasem i panicze, co przegrawszy w faraona, lub na szampana przepiwszy, idą do mnie na obiad, niby dla ciekawości. Nie długo mówił daléy poymię żonę, nie uboga, mam w Bogu nadzieję, że będziemy mieli chleba do śmierci, może mi Salka, która mnie na wsi nie chciała, nieraz pozazdrości, ale niech i ją Bóg cieszy. Panicza proszę na moje wesele, wszakże ia to państwa poddany, a Jewka panicza karmiła. Niech się pan Władysław u mnie stołuie, dam osobny pokoik, gdzie tylko samych wpuszczam paniczów. Woyciech ma u nich łaski, bo Woyciech stary żołnierz, wie iak komu dogodzić. Od iutra więc stołowalem się u Woyciecha, a wkrótce byłem na iego weselu. Nie mogłem odmówić bratu pocziwéy Jewki, a teraz

dobroczyńcy moiemu. Panna Petronela, córka nie ubogiego stolarza, była narzeczoną Woyciecha. Po zaprzysiężeniu ślubów przed ołtarzem, państwo młodzi i całe grono weselne udało się do domu oberżysty. Pan Woyciech prezentował mi swoją żonę i gości. Petronela rumiana, przyjemna, skromna, najwięccy się między towarzyszkami podobać mogła. Dziękowała mi uprzecznie, że się chciałem znajdować na ich ochocie, nawzajem grzecznie odpowiedziałem. W tém chrapliwa odezwała się muzyka, sunęli się do tańca, walc wspaniały trwał może półtorej godziny, wołano niekiedy solo, co miało znaczyć aby po kilka par tylko razem tańczono. Panna młoda już sama była gospodynią, matka iéy nie pokazała się nawet, gotując kawę dla gości. Widać tam było można młodych mężczyzn siedzących obok swo-

ich kochanek, które już stały się ich niewolnicami, na krok odstąpić nie mogły, ani z kim innym póysć wtaniec; gotowi oni w przeciwnym razie parę tańcuiącemu odebrać. O saméy dwunastéy dano wieczerzą, po skończonéy, pili wiwat państwo młodzi, i pieniądze na tacę rzucali. Wiwat państwo młodzi, tylekroć powtarzane, zagłuszało całe pomieszkanie, a im kto mocniéy głos dobył, tym wyżéy uczył nowożeńców. Po wieczerzy nastąpiły oczepiny. Wyszła Panna młoda już w czepku i w koléy ze wszystkimi kobietami i męszczyznami tak zwanego *chmielela* tańczyła, a każdy potróyną koleią musiał na talerz rzucić pieniądze. Przy téy składce siedziała jedna męzatka, aby pobudzić okazanie się i wymódz na nich nieznacznie większą ilość pieniędzy, na jednym talerzu już złożone, przykrywała drugim, aby każdy poie-

dynczo rzucając, wstydził się dać nie wiele. Gospodarz u nich więcej uważany jak goście. Kiedy już sobie piwem podochocili wszyscy, a z niemi i Pan Woyciech, ktoś Panu Woyciechowi przemówił, ztąd kłótnia, a potem bitwa. Gospodarza białą! wołali, Panna młoda pobiegła po Policją, i swóich gości do aresztu oddała. Ja uprzedziłem przyście Policji, i powróciłem do mieszkania, zadowolniony, że na weselu Pana Woyciecha miałem sposobność poznać nowy rodzaj ludzi. Lecz już dłużej w Warszawie pozostać nie mogłem, czułem, że aby się uleczyć z szalu marnotrawstwa, który mnie na jakiś czas obłąkał, trzeba było na wieś wrócić koniecznie, lecz długi wyiechać nie pozwoliły; gdym zaś miał dostarczane z domu na wszystkie moje potrzeby, donieść o długach mojej matce nie śmiałem. Ale ona już pierwéj

od trzecich osób dowiedziała się o t^om; pierwszy ten błąd przebaczyła mi łaskawie, pieniądze na zapłacenie długów przysłała. Uspokoiwszy więc Woyciecha i gospodarza, wkrótce byłem już w domu. Matka moja przyjęła mnie z otwartem sercem. We wsi i gospodarstwie wkrótce znalazłem upodobanie, przenosząc swobodę i zdrowe powietrze, nad wszystkie miasta powaby: Bo na wsi oddychamy najwolniej, jeżeli nikomu nie dłużni, spokojni, nawet przy szklance wody weseli. Tam wśród biedy zapominamy o biedzie, a jeśli do miast nadzieia nas wypędzi, zawiedzeni znowu uciekamy na wieś, poznawszy że w miastach także biada, ale błyszcząca, niewidzialna i dla tego może bardziej dotkliwa.

Zasiedziałem się w domu, ledwie o parę mil oddalając się z wioski. Serce moje już nie miało celu utęsznień i

wzdychań, bo unikać kobiet postanowiłem. Nieszczęśliwy w miłości wyrzec się ię pragnąłem. Jedna Amelia kochana i kochająca, już innemu rękę oddała, druga Amelia! ilem razy sobie przypomniał, tyle razy wzmacniłem się w przedsięwzięciu. Obraz pierwszej cnotliwej Amelii, który wszędzie był ze mną, zawiesiłem w moim pokoju. Ilem razy spoyrzał na ten wizerunek wiosny, tyle razy przypomniałem sobie najpiękniejsze dni moje, tyle razy westchnąłem, lecz tyle razy postanowiłem nie kochać.

ROZDZIAŁ IV.

Kto pierwszy raz kochał, naydzielniey uczuł roskosz miłości. W duszy jego rodziła się dopiero ta słodycz, która iedyném ludzi jest szczęściem. Ale nie raz tylko kochamy w życiu, z równym nawet zapałem, możemy gorzeć miłością po kilka razy, choć iéy słodycze coraz mniéy będą powabne.— Gdym iuż ciągle nie oddalał się z domu, zaczęło to moię matkę obchodzić; nalegała koniecznie, abym przynajmniéy wyiechał w sąsiedztwo, abym poprzestał prawie że unikać ludzi. Przyrzekłem uczynić zadosyć żądaniom matki; lecz długi czas upłynął, ia nie wypełniłem ieszcze iéy woli. Aż na-

reszcie, gdy razt jednego wybrała się moia matka odwiedzić Woiewodzinę, sąsiadkę naszą, teraz iuż wymówić się nie mogłem, musiałem iéy towarzyzyć. Cwierć tylko mili, nie długo stanęliśmy w Zalesiu. Pani Woiewodzina [robiła siatkę z nacyiększych nici, nią obdzielała całą rodzinę, a wszyscy za drogą pamiątkę przechowywali. Jéy córka Izabella dla Wuiazka haftowała pugilares. Gdyśmy weszli, ustała praca; po wzajemniém przywitaniu, po wymówkach dawnego niebycia, tłumaczeniach i tym podobne, pokazywała swoją siatkę Woiewodzina, Izabella także podała pugilares, ztąd znowu pole do rozmów, iak Pani Woiewodzina dobre ma oczy, iak Wuiazka ucieszy tak ładny upominek. I ia do téy rozmowy należałem cokolwiek, mówiłem szczególniéy do Izabelli, o hafcie wypukłym, o płaskim

czyli cerowaniu, o mereszkach, topólkach, robótkach, i przyznała Izabella, że się dosyć znam na robotach kobiecych. Otóż to iedyny sposób nauczyć się pewnych tylko nazwań technicznych, a iuż niekiedy za uczonego można uchodzić. Iluż takich znawców na świecie!

Lecz w ten czas nawet, kiedy nie mówiłem z Izabellą, spozierać na nią i długo wzrok zastanawiać chęć jakaś wzmagała się we mnie. Ale skorom sobie przypomniał, ile od miłości byłem iuż prześladowany, wzdrygnąłem się iakby na widok trwożącego obrazu, i odwróciłem w inną stronę te oczy, które na Izabellę koniecznie patrzeć pragnęły, znajdując w iey ryśach twarzy, a szczególniéy w oczach błękitnych, niemal takie, iakiemi mnie Amelia podbiła. Zbliżał się wieczór, wróciliśmy do domu. Zamyślony, ale

spokoiny zawsze bywałem, teraz już nie-
pokoje klóciły moje serce; dawniéy mi
nie zbywało na nicém, teraz niedosta-
wało wszystkiego. Załesie, Woiewodzi-
na, a nadewszystko Izabella, ustawiczne
iéy pochwały, zdradzały często taie-
mnice moiego serca, którą przed sobą
samym wachałem się odkryć. Już od-
tąd częściéy przechodziłem się samo-
tnie, na flotowersie smutne dumki
znowu grywałem, przed wschodem i
po zachodzie słońca moje piosnki roz-
nosiło echo po rosie. — Raz spostrze-
głem, bocian na dębie stał sobie gnia-
zdo, Izabellą myśl moja zaięta, wzię-
ła za złą lub pomyślną wróżbę przy-
latującego bociana, do niego te wier-
szyki śpiewałem:

Jakim powabem wiedziony,
Gnieździsz się tutaj Bocianie,
Co cię przywiodło w te strony,
Czy piękność mieysc, czy kochanie.

7*

Jeżeli z początkiem wiosny
Sam kochany, sam szczęśliwy
Nie kłamliwy, nie zazdrosny,
Ogłaszasz wyrok życzliwy.

Wracaj tu po każdej zimie,
Gnieźdź się wychowuy pisklęta,
Szczęśliwy w wdzięcznym cię rymie,
Każdę wiosny opamięta.

Jeżeli to złą wróżbę znaczy,
Odleć stąd Bocianie luby,
Oszczędź mi, oszczędź rozpaczy,
Nie wywróżaj moię zguby.

Odleć gdzie szczęśliwsze kraie,
Tam gdzie za miłość wzajemność
Luba kochanka oddaie,
Gdzie wierna gości niezmiennosc.

Tam wszystkie dęby, modrzewy,
Twoje gniazdo przyimają mile,
Tam i słowik wyda śpiewy,
Tam rozkoszy, szczęścia tyle.

—
Nie długo znowu odwiedziłem Wo-
iewodzinę, prosiła o to, uprzejmie pro-
siła, takem się usprawiedliwił przed
sobą, możnasz odmówić bez uchybie-

nia grzeczności. Zdawało mi się przede-
to, że dla grzeczności musiałem da-
wną samotność moję poświęcić, ale
coraz więcej, aż nakoniec zupełnie
przyznać sobie musiałem, że miłość
iż mnie wydarła samotności, która
wyłączając ludzi od towarzystwa, wy-
gasza zaród miłości bliźnich, *i niekie-
dy ludzi czułych i wspaniałych, w sa-
molubów przetwarza.* Im częściej od-
wiedzałem Zalesie, tém więcej wzma-
gał się płomień zatłony, i do częst-
szych ieszcze pobudzał mnie odwiedzin.
Mało iednak zawsze mógłem z Izabellą
rozmawiać, gospodynią domu bawić
wypadało koniecznie. W tenczas więc
tylko, gdy liczniejsze było grono od-
wiedzających, miałem sposobność mó-
wić osobnie z iey córką. Lecz nie wie-
le było dni takich, bo do Zalesia, gdzie
dla mnie drzewa chłodniejszy cień rzu-
cały, gdzie owoce przechodziły wy-

bornym smakiem wszystkie okoliczne, gdzie niebo było pogodnieysze iak indziący, bo gdy prócz mnie nikogo miłość do Zalesia nie wiodła, nikt tego, dla mnie tylko cudownego miejsca, nie odwiedzał tak często. Pragnąłem iednak zawsze przekonać Izabellę iże ją kocham, a Woiewodzinę zobowiązać dla siebie drugiem było moim staraniem. Lubiała wiadomości, lubiała czytać Gazety, z kąd mogłem zbierałem nowinki, abym miał za widzeniem czem ją zabawić. Lecz na nieszczęście, z kilku ledwie czasem dwie były iey nieznane ieszcze, a w Gazetach które przesyłałem co tydzień, zawsze nic ciekawego. Chciała bowiem, aby nie tylko co iest, ale nawet i to, czego ieszcze nie było i czego może nie będzie, pisał przewiduiący wydawca. Ja przecieź temu nie byłem winien, i zasługiwalem na wygłędy. Małą i bardzo

małą przysługą można niekiedy zjednać sobie życzliwość. Większych nie nadarzały okoliczności, aż gdy nadszedł nieszczęśliwy Marzec, miesiąc śmiertelny dla wielu ludzi, Woiewodzina zachorowała. Z okolic, z poblizszych miast nagromadzili Lekarzy, ale wszystkie ich przepisy nie skutkowały, odstąpili ją wszyscy. Już leżała *iakby* na śmiertelnéy pościeli, iuż tylko dla pozoru podawali iéy zalecone napoie; podług przepowiedni Lekarzy, iuz trzy dni tylko żyć miała. Przerażał mnie widok płaczącéy rodziny, która ciesząc nadzieią życia matkę iuż na śmierć osądzoną, tłumila łzy wyciskane wspomnieniem straty tak drogiéy, rozbiegała się po stronach, aby płakać, gdy iuż w obliczu matki łez utrzymać nie mogła. Córki, zięciowie, syny, wnuki, bracia, prawdziwy obraz żalu i przywiązania stawiali. Ktokolwiek

przyjechał z sąsiadów, dołączył swoje łzy z ich łzami, swoje modły do Boga, aby ią jeszcze ratował, z modłami rozpaczającej rodziny.

Już wszyscy zwątpili że Woiewodzina żyć będzie, mnie przyszło na myśl, czyby iaki biegleszy Lekarz nie przywrócił ią zdrowiu. Jak prędko tę myśl powziąłem, tak prędko chciałem ią wykonać. Extrapocztą do Warszawy iadę natychmiast, i znanego z doskonałości w swéy sztuce, extrapocztą także przywożę z sobą Doktora. Rozpoznał stan choroby ten mąż szanowny, przepisał leki, czuwał ciągle i poznawał stopniowo wracające zdrowie, a gdy ie iuż prawie zupełne uyrzał, polecił Woiewodzinę staraniom domowym, a sam nagrodzony, lecz niezawdzięczony nigdy, odjechał.

Nadszedł Kwiecień, i Święta Wielkanocne. Woiewodzina iuż odzyska-

ła zdrowie, i całą swoją rodzinę zaprosiła do siebie, i ja byłem wezwany, bo odtąd jużem prawie do nich należał. Wuiaszek zapewniał mi swoją przyjaźń, synowcowie, córki i synowie, na tysiąc dziekczynień składali się dla mnie, Woiewodziny pochwał nie stało przed każdym, kto ją tylko odwiedził, kogo niemal, pierwszy raz widziała. Już odtąd przestałem tam byc gościem, choćby codziennie, mile w tym domu przyjęty byłem. Lecz zaproszony na Święta, nie znajdowałem się u Woiewodziny, gdyż nie chciałem uchybić szanownego zwyczajowi, byłem u państwa Dobromskich, którzy moją matkę, całą rodzinę i mnie zaprosili do siebie. Pan Dobromski, niegdyś Kommissarz Cywilno-wojskowy, raz Poseł na Sejm do Warszawy, dzisiay Radzca Woiewódzki, był patriarchą familii, u siebie więc zbierał

ią w każdą uroczystość tak wielką. Nie było komnat osobnych, cały dwór kilka tylko zawierał pokoi, między innemi dwa były gościnne, jeden dla kobiet, drugi dla mężczyzn, że się dosyć ziechało, każdy iak mógł tak się mieścić.

Po długim poście, od rana iuż o iedzeniu myślano, oprócz zwykłego święcenia i napoiów, mieliśmy owoce rozmaite, a szczególniéy śliwki prosto z drzewa, które w Trephauzie wydało owoc tak wczesnie w przysposobioném cieple doyrzeć mogący. Państwo Dobromscy są wielkimi przyrziaciółni ogrodów. Mieszkanie ich na wiosnę, ten skromny i dość szupły domek, pełen okien i drzwi szklanych, zdaie się bydz chłodnikiem pośród obszernego ogrodu. Dziedziniec otoczony z obudwóch stron klombami, w środku topole włoskie tworzą okrąg, gdzie w czasie pogo-

dnego lata, nie raz wieczorzali goście zebrani. Z drugiey strony dworu we dwa półkola około okien cytryny i pomarańcze, wiśnie ananasowe, i kwiaty w kształtnych domowey rekodzielni doniczkach, stały podług wzrostu uszykowane, z początkiem dni trwale ciepłych, wydobyte z Trepbauzu z tego zimowego więzienia, były naypiękniejszą ozdobą, smakownie zabudowanego dworku. Po bokach rozchodził się ogród, aż gdzie w znaczney odległości parkan graniczył go z zagrodami włościan. Drzewa owocowe tworzyły rozpierschnione ulice, a w kilku zakrętach w pewney i harmoniyney odległości, tu chatka pustelnicza, owdzie chłodnik w cieniu odwiecznych grabów, tam spoczynek pod rozłożystym kasztanem, indziéy klombik akaciowy, tam znowu brzozy płaczące, tu w reszcie buk stary, sam go do tego

ogrodu ieszcze ' za swego oyca Pan Dobromski przesadził, tu na nim, gdy go doświadczała kochanka, gdy iuż że go porzuca zdawało mu się, smętny, rozżalony, te na nim wiersze Karpińskiego wydrążył.

Milay to drzewo siekiero,
Tu się rozstając z Palmirą,
Medon łzami wylanemi,
Poświęciłem ie moiemi.
Jeżli z kochających iaki,
Trafiysz kiedy na te szlaki,
Odnów dla wieku późnego,
To pismo kompana twer ;
A ty o drzewo kochane,
Drzewem łez będziesz nazwane.

Widać że kilku takich nieszczęśliwych było iuż w tym ogrodzie, bo napis ieszcze nie starty ieszcze go i teraz odnawiaią kochankowie, a Pan Dobromski niekiedy prowadzi tam żonę, odczytują oboie, serdeczne ucałowanie nagradza przeszłość niekiedy smutną, co natchnęła ten napis.

Z drugiey strony za drogą, która

idzie przez wieś prosto od kołowrotu do kołowrotu, gdzie mosty prostymi ale kształtnymi otoczone poręczami podobają się przejeżdżającemu, gdzie wierzby już dosyć szeroki cień rzucają, za drogą, pan Dobromski drugi znowu założył ogród. W nim młode jeszcze drzewa, własną jego ręką szczepione, truskawki, agrest, pończeczki, śliwki rozmaitych gatunków, gruszki i jabłka nayprzednieysze, morele, brzoskwinie i jagody winne. Dalej za małym strumieniem, który z chłodnego źródła wypływa i dzieli na dwie części ten ogród, założył Pan Dobromski pasiekę, około ulów melissa, groch tyczkowy i maliny, dostarczają ulubionego pszczołom soku. Skoro May uzieleni całą naturę, w Dobrzycach wszystko zachwyca. Tam przed wschodem jeszcze, budzi słowik przerywanym, ale naytkliwszym

śpiewem, po zachodzie długo nie pozwala zasnąć, przecież się nań nie oburzamy, niekiedy wywabi nas owszem aż pod ten klomb, gdzie z swoją ulubioną śpiewa szczęśliwy. Wielkanoc ta była w Kwietniu, natura już się wtedy ożywia, ale nie ożyła jeszcze zupełnie, jeszcze Dobryczyn nie miał tyle powabów, lecz zaraz gdym o nim wspomniiał, przyszły mi na myśl jego wdzięki wiosnowe, przypomniały mi się te dnie szczęśliwe, które tam przepędziłem w téj porze roku, nieraz ulgę przynosząc żalem i smutkiem ściśnionemu sercu.

Nazałutrz dopiero byłem na obiedzie w Zalesiu. Przyechawszy skoro tylko wszedł do sali, wszyscy mężczyźni wybiegli ku mnie, uprzejme były witania, zaprowadzono mnie na pokoje bawialne, od kobiet równie mile byłem przyjęty, Woiewodzina

dowiadowała się o zdrowie państwa Dobromskich, o moją matkę, późniéy o pogodnym Kwietniu, mówiliśmy wszyscy, o polepszeniu zdrowia wspomniała Woiewodzina, tu znowu musiałem się rumienić, bo znowu dziękowali mi wszyscy. W tém lokay oznaymił że iuż na stole, męszczyźni poprowadzili się do stolika, po kieliszku likieru obczęstawali się wszyscy, późniéy zasiedliśmy do obiadu. Sztuce srebrne z przedwiecznych, na nowomodne kantowane przerobione leżały, ale pod niemi nie ugiął się stół bynajmniéy, więcéy kształtne, mniéy ważne były. Nie było rozstruchanów, małe tylko kieliszki i para butelek wina, co wystarczyło dla wszystkich gości. Dań było kilka, wszystkie smaczne i zdrowe. Obrusy z przędzy domowéy w pobliskiéy rękodzielni tkane, cienkie i białe, stołki olszowe,

w machoniu kolorze politerowane; wyścielane, w pokrowcach żółtych morowych, które w powszedni dzień, astrachaniowe zakrywają powłoki. Koło Woiewodziny, siedział były Kawaleryi narodowej Porucznik, szanowny obywatel, wzięty i kochany w powiecie, dalej inni zaproszeni starsi obywatele, z drugiej strony stołu same kobiety, najmłodsza Izabella za niemi, jeszcze jedno obok nię było miejsce i to mnie się dostało. Wszyscy rozmawiali głośno i ciągle ja rozmawiałem z Izabellą i nią tylko byłem zajęty.— Ta przy końcu była nasza rozmowa:—

— Jakże Pani przepędziła dzień wczorayszy?

— Nayprzyjemnię, bo pośród swoich, i Pan zapewne podobnie?

— W samey rzeczy, lecz iuż nie tak

jak dawniéy, ilem razy tylko znajdo-
wał się między swoiemi.

— Dla czegoż taka odmiana?

— Jakaś tęschnota ogarnęła mnie wczoray, wszyscy bawili się ochoczo, ia tylko, żeby się nie odłączać, dzie-
liłem z niemi zabawy, ale myśl moja czém inném była zaięta. I wtenczas kiedy Pani na łonie familii dzieliłaś z nią radość, ia nie mogłem obok ma-
tki, obok całej rodziny, kosztować prawdziwego wesela, którem dawniéy, zawsze w ich towarzystwie znajdo-
wał. Jednéy ieszcze, iednéy tylko niedostawało osoby, wtenczas szczęście moje byłoby już doskonałe.

— Któż jest ta osoba, której do-
skonałemu szczęściu braknęło?

— Ta osoba. W tém powstanie od-
stołu skończyło naszą rozmowę.

Po kawie poszliśmy w gry: w Są-
siada naprzód, późniéy w Cenzurowa-

nego. Koło obszerne na krzesłach zasiedli wszyscy, nawet i Pan Porucznik, Pani Woiewodzina tylko nie należała do nas. Porucznik był nayeześciey sąsiadem młodych panienek, bo nie kontente z innych, przez grzeczność jego na sąsiada wzywały, a on obok tych aniołków z wzajemném upodobaniem się mieścił. Różne dawano przyczyny nie upodobania z sąsiada. Karolina, wnuczka Woiewodziny, nie była kontenta z Wacława, że od nię siedział zdaleka, iedni uważali te słowa za natchnienie serca, drudzy za grzeczności nie wzajemność chcącą nagrodzić.

Późnię graliśmy w Cenzurowanego. Naprzód na wystawionym pośrodku krześle zasiadła Pani Płochocka, wdowa od roku, iuż czterdziestoletnia, w *pretensyi* iednak do młodości, do wdzięków i zalotności. Spodziewała

się, że wszyscy uwielbiają ją na cenzurze, i niezawiedziona w oczekiwaniu, z uśmiechem słyszała swoje pochwały, tego przez skromność przeznaczając na swoje miejsce, który ją najgrzecznięj pochwalił. W gotyckim stylu komplement szanownego Porucznika, zawsze iednak bardzo uprzejmy, posadził go na miejscu Pani Płochockiëy. Wszyscy byliśmy pod cenzurą, nikt się tu na nikogo nie pogniewał, bo umiano szczęśliwie wesołość z przyzwoitością pogodzić.

Zbliżał się wieczór powróciłem do domu. Izabella zajmowała myśl moją. Nie miałem świadka moich rozmyślań, nie było ktoby mnie rozerwał, ktoby przyniósł ulgę w tęschnych cierpieniach, bo moiëy matki nie było, u Państwa Dobromskich ieszcze bawiła. Ile razy spojrziałem na obraz Amelii, tyle razy, nie tak iak dawniëy na mi-

łość którą ku niéy pałałem, poprzy-
sięgałem kochać Izabellę. I wtedy iuż
postanowiłem otwarciéy ieszcze wy-
znać iéy moję miłość i uprosić Pana
Porucznika, aby mnie Woiewodziny
oświadczył.

Ale na moje nieszczęście, rozgłos
znacznego maiątku, a co większa, go-
towizny, doszedł pewnego Hrabiego,
bogatego wdowca, aż w inném Woie-
wództwie, aż o czterdzieści mil od
dóbr Woiewodziny. Na ten rozgłos,
zabrawszy pierwéy bliską znościę
z Wuiem Izabelli, przybywa. Zaie-
chał kareta, pięć koni, lokaie w ga-
lonach, uśmiechnęła się mama, córunię
pogłaskało po sercu, bo wszyscy mniey
więcéy próżni iesteśmy.

Ja także może byłbym iuż odtąd
koezem i piątką paradował, iuż mia-
łem kilka tysięcy pożyczyc, iuż żydki
na pięćdziesiąt od sta obiecywały,

w tém na moje szczęście przeczyta-
łem Fryderyka Hr. Skarbka Satyrę
Konkurent:

Mamże bydź owym modnym, lecz gołym paniczem,
Którego szczęście, stangret popędza swym biczem,
A wsadziwszy nadzieię do drogięj karety,
Na koniach, na lokaiach, przypiął swe zalety.
Szczęśliw póki fortuny choć słaby blask świeci,
Z potrzaskiem dzielną piątką, w otchłań nędzy leci.

Te wiersze skutecznym były środ-
kiem na moję próżność, nie pożyczy-
łem pieniędzy, szczupłego nie zadłu-
żyłem mająteczku, zda on się ieszcze
na potém. Długo nie śmiałem zay-
rzyć w oczy, możnemu przeciwnikowi,
długo bałem się pokazać bryką i sta-
nąć obok kocza, albo karety, ale na-
reszcie stęschniony nie mogłem prze-
wieść na sobie, aby tak długo nie wi-
dzieć Izabelli; więc pojechałem. Wo-
iewodzina pierwszy raz krzywiła się
na mnie, rywał z szyderskim uśmie-

chem mierzył mnie od stóp do głów, Wuiaszek mnie nie poznał, iedna tylko Izabella, łaskawem raczyła mnie weyrzeniem, to mi dodawało nadziei, to we mnie stałość wzmagalo. Już drugi miesiąc upływał, iak Hrabia poznał Izabellę, i lubo się nie zbliżył do iey serca, oświadczył się Woiewodziny, był mile słuchany, i bez odwołania się do córki, od matki przyrzeczenie otrzymał. Gdy poznawała Woiewodzina, że zawsze miłszy Izabelli mniey bogaty Władysław, iak możny Hrabia, wyraźnie dała mi poznać, abym w iey domu nie bywał; musiałem więc nie bywać. Ale droga Izabella, tu pierwszy raz przekonała mnie że mi iest wzajemną. Widząc się z Kloryndą wdową iuż podeszłą, iedyną w romansowych intrygach, która niekiedy listy moje oddawała Izabelli, namawia ją, żeby mi od siebie

podała sposób widywania się w tylnym ogrodzie, że tam każdy najwcześniejszy ranek zwykła przepędzać, że tam ją widzieć będzie mi wolno, że wtedy przekonam ją o stałości. Z początku Klorynda, od siebie niby te rady dawała, ale nie długo tajemnicę utrzymać mogła, dowiedziałem się od niéy, że Izabella kocha mnie wzajemnie, że ten sposób ona sama podaje, tém przeto śmielęy korzystałem z niego.

Nazajutrz, słońce ledwo wschodziło, już stanąłem na miejscu, gdzie miałem się przekonać, że Izabelli nad bogactwa, droższa jest miłość. Nie poymowałem się z radości, gdym uyrzał przechodzącą się po ogrodzie, nieśmiałym krokiem zbliżałem się ku niéy, a gdy nasze się oczy spotkały:

— Szczęśliwe natchnienie, rzekłem, wiodło mnie do ogrodu, może już raz ostatni, ten raz ieszcze wolno mi Pa-

nią oglądać, nie odmawiaj mi droga Izabello téy iednéy chwili.

— Wszak ia się nie oddalam.

— Droga to ofiara, ia iéy niegodzien zapewne, ale iesteś tak dobra, Izabello nie porzucay mnie ieszcze, chcę ci powiedzieć:

— Cóż więc?

— Że cię kochać będę do zgonu, że śmierć tylko iedna ciebie mi wydrzeć zdoła.

— Możemyż się spodziewać, że matka moja?

— Więc odday Pani rękę temu, którego iéy ona wybiera; Patryarchalna cnota szanować wybór rodziców. Żyy tylko szczęśliwa, twóy narzeczony, niech cię tyle co ia kocha.

— Jużeś więc Pan wszystko powiedział? Niewdzięczny, także mało znasz Izabellę? mniemasz zapewne, że i mnie ludzi maiątek, los mi go dosyć udzie-

lił, dla nas obojga wystałoby do śmierci.

— Dla nas obojga! (tu ucałowałem ię ręce). O ia naynieszczęśliwszy! Ale nie, moje szczęście, chętnie Pani szczęściu poświęcę, obyś ie tylko znalazła, lecz znajdziesz ie bez wątpienia, błogosławieństwo rodziców, błogosławieństwo nieba poprzedza. Hrabia, bogaty, wpływy, nadzieia dobrego bytu, wszystko, uderza, wszystko obiecujące, a za mną cóż mówi?

— Izabella! — nie iestże dosyć?

— Izabella! niech się teraz wszystko na mnie sprzysięga, nicszczęścia, przeciwności całego świata, niech całym ogromem na mnie uderzą, nie zwalczą moiej stałości.

— Może téż znikną przeszkody, może łzy moje zdołaią ubłagać matkę.

— Izabello, nie wyleway ich dla mnie, każdą łzę twoię, chętniebym życiem okupił. Lecz iuż słychać by-

ło gwar robotników i wszyscy byli już w ruchu, do jutra, do szczęśliwego jutra, ledwo Izabella dokończyła i znikła. Jam został jeszcze, jeszcze ją śledził zniklioną; upłynęło chwil kilka zanim z omannienia wyszedłem, zanimem się oddalił. Jechałem z wolna, Izabella, każde iéy słowo, ogród, jutro, wszystko to odradzało się w moiméy pamięci; tę krótką drogę, wśród głębokich i częstych westchnień przebyłem; powróciwszy do domu, nie mogłem dumać; goście tak upragnieni w dzień inny, w tenczas zaś tak nieznośni, nie pozwolili mi rozmyślać, z udaną grzecnością bawiłem ich dzień cały, ale długo oczekiwana noc w reszcie nadeszła, ta noc już była moją. Już się wszyscy pośpili, pies tylko wierny oszczekiwał na około całą zagrodę, ja czuwałem i błogosławiłem odeyście snu, co mrózając powieki daie

zapomnieć o wszystkiem. Rozmyślałem o dniu już upłynionym, i o jutrze przysztém. Jutro więc, mówiłem w myśli, Izabella mi ogłosi szczęście, jutro skoro ją uyrzę, opowiadać mi będzie iak ubłagała matkę, iak nakłoniła wujka, jutro więc dowiem się o moim szczęściu, od iutra już Izabella będzie moją, a wkrótce moją na zawsze. Tak rozmyślałem, a ieśli głos pođeyrzliwy wydobywał się z duszy, ieśli o szczęśliwém jutrze choć cokolwiek powątpiewać zacząłem, głos inny, głos życzliwy wydało omamienie, i głos prawdy stłumiło.

Ledwie pierwsze zorza świt dzienny miały poprzedzać, już byłem w ogrodzie. Nie znajduię nikogo. Wszystkie ulice, wszystkie ogrodu ścieszki przechodzę, Izabelli już nie było. Ślad tylko świeży po trawniku skropionym rosą odkrywam, ten mnie prowadzi do

miejsca, gdzieśmy się wczoray widzieli, i tam kartkę tylko tak napisaną znalazłem:

Już iestem żoną Hrabiego, iuż żadne iutro nie będzie dla mnie szczęśliwém. — Izabella.

Już żadne iutro nie będzie dla mnie szczęśliwém, powtórzyłem ze łkaniem. Zalany łzami i tём więcéy nieszczęśliwy, im doskonalszego spodziewałem się szczęścia, powróciłem do domu. Długo w otrętwieniu obojętny i nieczuły, iuż żalem i cierpieniem ponękany zupełnie, zdałem się zapomnieć o Izabelli, cieszyło to moię matkę, i aby nie odnowić rany serdecznéy, każdy się strzegł w naszym domu Izabelli imie wymówić.

ROZDZIAŁ V.

Przyjaźni! mówią że cię nie ma pomiędzy ludźmi, że tylko wyobrażamy sobie, iaką być masz, a iaką nigdy nie będziesz. Jesteś, ja wyznaię, tyś na pierwsze cierpienie człowieka zstąpiła z niebios na ziemię. Bóg naprzeciw tylu dolegliwościom ciębie iedną nam zsyła. Bez ciębie wieczne igrzyska losu, w łzach przepędzalibyśmy zbyt długie chwile, krótkiego życia.

Był iuż Wrzesień, iuż woyska na zimowe leże powracały z obozu. Xawery, dobry mój przyjaciel, stanął z swoim oddziałem w naszey wiosce. Bóg zesłał mi pocieszyciela, Xawery stał się ulgą w cierpieniach, umiał

ie ze mną podzielić. Wiemy już, że Xawerego serce nie było wolne, nie-spokoyności już nim miotały, kochał i miał wzajemność, lecz oddalony tę-schnił, składał swoje lube męczarnie na łono przyjaciela, opisywał mi piękną i cnotliwą Leonorę, śpiewał na ięý pochwałę. Jeszcze zieleniły się drzewa, ieszcze niekiedy wschodziło słońce i zachodziło pogodnie. Wtedy obadwa, gdy wszyscy spoczywali, chodziliśmy po ogrodzie. Słowo niekiedy iedno naszego nie przerwało milczenia, a przecież bicie serc naszych zdało się rozumieć, a przecież, żeśmy byli około siebie, dobrze nam było. Czemuż tu nie ma Leonory, przerwał niekiedy Xawery, czemuż tu nie ma... ia chciałem powiedzieć, kogo? zapytał, twoięý Leonory dodałem, ale on mnie zrozumiał, a łzy stanęły nam w oczach.

Już trzeci rok upływał, iak Xawery kochał Leonorę; iuż więc nie długo miał dopełnić swoich życzeń, miał ją zaślubić. Nie wyszło czterech miesięcy do Czermina odiechał, przyrzekłszy iż matkę moję z żoną odwiedzi, a mnie prosił żebym na dzień ślubu przyjechał i Leonorę do ołtarza poprowadził. Leonora liczyła lat ośmnaście, przyjemna, uymuiąca, łagodna, miała błękitne oczy i włosy iasne, nie miałaż się podobać? Xawery wszystkie przymioty najpiękniejszych towarzystw z przymiotami serca połączył, umiał się wszystkim podobać, umiał na wzajemność u Leonory zasłużyć, i iey rodziców serce pozyskać. Oddali mu chętnie i córkę i majątek, a ia prowaodziłem ją do ślubu. Powrócił Xawery do swojego oddziału, lecz wkrótce uwolniony od służby z *pozwoleniem noszenia munduru*, co nie lata służ-

by, lecz piękne zasługi mu wyiednały; raz ieszcze tylko z swoją żoną nas odwiedziwszy, pojechał prosić o błogostawieństwo oycy dla siebie i dla swojej Leonory, które listownie iuż był pozyskał. Odjechał, a ia po przyiacielu tęskniłem, tém mocniéy czując, że Izabella iuż nie jest moją, im więcéy obok Xawerego iużem był o tém zapomniał.

Już teź rok miiął, iak Izabella była żoną Hrabiego, a ledwo minął, iuż do nikogo nie należała na ziemi.

Ustawiczne niepokoie, niesmak pożyicia, a może i pamięć na biednego Władysława przyprawiły o chorobę, a ta wpędziła ją do grobu. Tak smutne zazwyczaj wypływaią skutki z przymuszonego postanowienia. Hrabia nie kochał swojej żony; aby spłacić długi, które iego dobra ciążyły, szukał posażnéy, gdy znalazł taką, nie zapyty-

wał się serca, skoro tylko mógł dogodzić widokom. Dla tego też nieraz, z niespólności zdań, z nieiedności charakteru i ciągłego nieukontentowania, wyrzucał iéy: ia się sprzedałem dla ciebie, iam ciebie niekochał nigdy. Łzami na tę przerażającą wymówkę odpowiadała Hrabina, cierpliwie znosiła prześladowanie, matce nie doniosła o niczém, nie chciała podobno dotknąć sumienia Woiewodziny, które mogłoby wiele od zgryzot ucierpieć, gdyby Izabella w naypowabniejszych obrazach nie wystawiała iéy zawsze swiego losu. Skoro bowiem Hrabia wyrobił indult, mimo niechęć Izabelli, z woli i w przytomności matki i prawie całej rodziny, zaprowadzono ją do ołtarza, gdzie iéy usta wykonały przysięgę, którę serce niepotwierdziło, cnota iednak dochowała statecznie. Gdyby Woiewodzina znała los iéy

opłakany, w sercu matki, grzeszący tylko omamieniem, musiałoby się odezwać prześladowanie sumienia, ale dobra Izabella, oszczędziła cierpienie matce, mężowi była najlepszą, sama przyplacić musiała śmiercią niezastużone nieszczęście, umarła zapisując najokrutniejszemu mężowi cały majątek. Hrabia tyle przynajmniej umiał być wdzięcznym iż ię wystawił nagrobek.

Przy tym grobowcu, ja codziennie chodziłem dumać, odtąd melancholia ogarnęła moję duszę i umysł, mięysca rodzinne, niegdyś tak miłe, zdziczały w oczach zawsze łzy wylać gotowych. Wspomnienie przyszłości przerażało mnie trwogą, nie było postanowienia w którymbym stale upatrywał, zasługi i powodzenie. Dzień ieden postanowiłem zostać żołnierzem, wystawiałem sobie to wszystko, cokolwiek iest

nayzaszczytniejsze. Moi rodacy, mówiłem w sobie, oprócz nagrody, winni mi będą ieszcze i wdzięczność, bo żołnierz i wśród miłego pokoju, kiedy ziemianin spoczywa, w ciemną i niepogodną noc czuwa, strzeże i z własném niekiedy broni niebezpieczeństwem.

Dzień inny miałem powołanie do duchowieństwa. Przyiaźni nie ma na świecie, nie tak iak dawniey mówiłem, a ieźli iest, bardzo drażliwa, lotkie uchybienie, błacha przyczyna zmienia ją i pozbawia nas iedyney pociechy. W stanie duchownym, iak naywięcéy miłość bliźniego, obok zdań iednych, iednakości czucia zbliża do siebie i tworzy przyiaciół, tak ta sama święta miłość chętnie urazy przebaczy, i nie starga przyiacielskiego ziednoczenia. Jeźeli roskoszą w życiu społeczném być oycem, od kolebki do młodzieństwa

wychowywać i prowadzić dziecię, nie iestże równą przynaymnię rokoszą na prawą prowadzić drogę tylu zbłądzonych, a razem samym się ukołysać po burzach świata, które nami miotały i wyglądać z nadzieją szczęścia, które zaiśnieie w wieczności.

Lecz zostałem przy moiej matce, w gospodarstwie niosąc iey pomoc. Właściciel małej wioseczki, mimo częstą zmianę gospodarskich powodzeń, iest ieszcze dosyć szczęśliwy, ma czem skromne opatrywać potrzeby, ma się czem z biednym podzielić. A oprócz tego iakieyże nie doznaie rokoszy, gdy iak patryarcha kilkunastu rodzin, w chorobie, w ubóstwie, w upadku, zasila i ratuie, kiedy go cała wieś błogostawi, kiedy sam swobodny, umie cenić drugich swobodę, i stara się o byt dobry swoiëy czeladki.

Zostałem więc na wsi. Wolne godziny od gospodarstwa zajmowały mi rozmowy Platona przez Karpińskiego. Czytałem i odczytywałem je, a coraz więcej znajdowałem w nich nauki cnoty i godności, niemi kształciłem i poprawiałem serce, przez nie uspokoilem się prawie zupełnie, i długo za szczupłe wioski granice nie oddalałem się nigdzie. Dopiero gdy sprawę naszą dość ważną miano zanieść do Appellacyi, dla kierowania iéy udałem się do Warszawy. Podróż była nie długa, w krótce stanąłem na miejscu, dziwiąc się znacznemu postępowi dróg bitych, które uwalniaią podróżnego od przebywania błot i piasków, zmniejszaią koszta, dajac w krótkim czasie przebyć mil kilkanaście, a po karczmach nagościńcu już nigdzie nie znalazłem żydów, a

prawie wszędzie ochędóstwo, rzetelność i wszystko, czego może potrzebować podróżny.

Gdym już oddał sprawę obrońcy i wszelkie interessa ułatwił, poszedłem odwiedzić Państwa Szczeromirskich. Mieszkali oni dawnicy w Podlaskiem, oddalając się zostawili dobrych przyjaciół, przyjemnie im było choć cokolwiek dowiedzieć się odemnie, zapytań czynili mi mnóstwo, przekonałem się, że oddalenie, że czas, nie wygładza w dobrych sercach przywiązania do téy ziemi, na którój odebraliśmy życie, do tych osób, z któremi wzrastaliśmy razem, z któremi nas życzliwa przyiaźń łączyła.

W tym roku właśnie z początkiem Maia otworzone zostały, wody mineralne sztuczne w Warszawie. Pani Szczeromirska była słaba, przepisano iéy wodę Marienbadzką, codziennie

więc o szóstey zrana tam uczęszczała. Ja jeszcze u tych wód nie byłem, prosiła abym iey towarzyszył, i o szóstey nazajutrz ona i dwie iey córki, Pan Szczeromirski i ja, także uzbroiony kubkiem, poiechaliśmy do ogrodu. Ogród ten zwany Dekerta łączy się z ogrodem Krasińskich, przedziela ie mur wązki, a brama mała i kształtna z iednego do drugiego prowadzi. Na wstępie zachwycają nas róż krzaki, na iednym biała i czerwona razem rosnące, zdają się wyobrażać naszą posępność obok wesołości, która częstokroć w tey samey chwili gdy się uśmiecha, smutkiem się nagle zasępia. Nie iedna para rozkochanych bez mimowolnego westchnienia, nie minęła zapewne krzaku czerwoney i białey róży. Jedni lękali się, aby szczęście obecne, doznana wzajemność, nie znalazła towarzystwa w cierpieniach. Dru-

dzy już przeminioney nadziei, straconey wzajemności w białey róży widzieli obraz. Tak iak ta róża czerwona, mówili, iaśniała nasza pomyślność, miłość i nadzieia, dziś zgasło wszystko, i iak ta biała róża dla nas bladą postać przybrało. Drzewa owocowe rozszone w klomby na zielonych trawnikach, wesoly czynią widok. Na kamiennych wazonach kwiaty w doniczkach rozstawione dodają harmonii całości. Pośrodku w guście chińskim wystawiony chłodnik iest miejscem przeznaczoném dla orkiestry, która na dętych instrumentach uprzyjemnia ranki, do tych wód uczęszczającym. W czasie piękney pogody, wszyscy zazwyczaj przechodzą się po Krasińskich ogrodzie, ięzli dzień słotny, alea w przybocznym ogrodzie, sufitem kryta, wsparta na drewnianych kolumnach, służy do przechadzki, łączy

się z wystawą, pod którą nalewają wody. Tam w środku umieszczony zegar, wskazując godziny, daie się zastosować w przechadzaniu do przepisów Lekarza. Obok iest pokoik dla dam, sprawiedliwie ku ich przeznaczony wygodzie. Na końcu krytáy alei, dwie kamienne osoby, z obudwóch stron wystawione, podobne do mumii, przerażają okropnie, i zdaie się, żeby tam mieysca mieć nie powinny, gdzie wszystko, aby skutecznie działać na zdrowie ku obudzeniu i podsyceui wesołych myśli, ma służyć.

Dzień był bardzo pogodny w ten czas, Państwo Szczeromirscy przechodzili się po Krasińskich ogrodzie, ja odłączyłem się nieco, aby widzieć ogród przyboczny. Zbliżyłem się ku stronie, gdzie nalewano wody, podałem kubek i o salcerską prosiłem, iedna także dama żądała téy saméy, gdy obadwa kub-

ki były już napełnione, nie spostrzegłszy wziąłem nie mój, a poznawszy omyłkę, przeproszałem uprzejmie damę, właścicielkę kubka. Nic to nie szkodzi, łagodnie rzekła nieznajoma, dawniej często z iednego piialiśmy naczynia, nie dziwnego, że tak niespodzianie to samo, wydarzyło się w téj chwili. Więc los szczęśliwy, domyślając się mówiłem (gdym spostrzegł imię wyryte na kubku) z uzdrawiającą wodą, podał mi do ust to imię naydroższe, a przedemną stawia osobę, kochaną zawsze, lecz już nigdy moją zapewne.— Miemy nadzieję, odpowiedziała cichym głosem nieznajoma, a gdy odstoniła wual, poznałem te same oczy błękitne, te koralowe usta, poznałem anioła dobroci i piękności, uniesienia przepęlniały moje serce, a Amelia znikła przedemną, żal mnie ogarnął, łzy mi się z oczu cisnęły, po

gwałtownej radości, gwałtowniejszy jeszcze smutek nastąpił. Nie wiedziałem gdzie mieszkają Państwo Stateccy, może tylko na kilka dni do Warszawy przybyli, może jutro odjadą. Państwo Szczeromirskich odwiózłem do domu, sam powróciłem do siebie, ciągle smutny, niespokoiny i zamyślony; nakoniec zmordowała się dusza moja, i ciało żądało spoczynku, lecz i sen upragniony niechciał mi ponieść ulgi. Podniosłem się i pisałem list do mojej matki, donosiłem jej o sprawie, i że Amelią widziałem, ale że nie mam nadziei iż ją uyrzę powtórnie, każdy zaś wyraz w tym liście przekonywał, iak pomieszany i niespokoiny stan mojej duszy. Długo, zbyt długo dla mnie upływały godziny, iakże niecierpliwie musiałem czekać zanim noc nadeszła; lecz już nadeszła, już i północ na Zamku wybiła, wszystko ucichło, czuyne

tylko *kto idzie* rozlegało się po ulicach stolicy, a iam ieszcze nie zasnął. Ale nareszcie, gdy iuż o trzecię zaczął iutrzenka wschód słońca zwiastować, z nowem dnia światłem i mnie promyk nadziei zaiśniał, że u wód dziś także Amelią będę mógł uyrzć. Błogą pocieszony nadzieją, prawie biegnę do Krasińskich ogrodu, co dopiero żelazne bramy rozwarli. — Próżno blisko przez trzy godziny wszystkie ulice przechodzę, wszyscy iuż byli, Amelii nie było ieszcze. — Lecz przyiaźń na pociechę moję sprowadziła do ogrodu Xawerego, który dla spraw swoich iuż od miesiąca bawił w Warszawie. Spotkałem go, przechodził się zamyślony; gdyśmy się wzajem spostrzegli, rzuciliśmy się w nasze objęcia, ucałowaliśmy się serdecznie, radość tłumiła mowę, na pół wymawianemi głośniejszemi przeto wyrazami wyiawia-

liśmy sobie uczucia dwóch serc przyjacielskich, a publiczność, która na to patrzyła, prawie dzieliła nasze uniesienia, „oto dwóch dobrych przyjaciół” szmer się miły rozchodził.

Zwierzyłem się Xaweremu, co mi boleśnie dolegało w téj chwili, on mnie pocieszał, wątpił iednak, czy jeszcze nie wyiechała Pani Statecka. Xawery z ogrodu zaprosił mnie do siebie. Upływał nam czas na przypomnieniach przeszłości, on opowiadał, iak obok swéy Leonory żyje szczęśliwy, i ia może równego doznawałbym szczęścia, odpowiadałem, gdyby jeszcze Amelia, mogła kiedy być moją.— Juź po obiedzie rzekł do mnie, póydzmy odwiedzić moich sąsiadów, poznam cię z niemi, a pewny iestem, że ci się ten dom podoba. Mnie nigdy długo nie namawiał przyjaciel, więc idziemy. Ledwie o kilka kroków, bo

przez sień tylko, sąsiedzi Xawerego mieszkali, wchodzim, a ja poznaię Panią Statecką, poznaię Amelią. Nikt ie-
szcze nie opisał, i ja opisywać nie bę-
dę radości szczęśliwego zeyścia dwoy-
ga kochanków. Im, weyrzenia tylko,
iuz się daią zrozumieć, słowa innym
nie znaczące, dla nich są wszystkiem.
Poymuia ci co iuz kochali, iakie uczu-
cia przepętniały nasze serca, które
sympatyzuiąc z sobą przelewały się
w siebie. — Tu dowiedziałem się, że
Pani Statecka po śmierci męża iuz od
roku mieszka w Warszawie, że list
mój ieden tylko odebrano w Berlinie,
co iak Amelia mówiła, odnowiło pa-
mięć o mnie w iey sercu, i że cze-
kała pory zeyścia się ze mną, odmawia-
jąc wszystkim, co się o iey rękę starali.
Tu dowiedziałem się także, że Pan Nowi-
niarski błędny mi wiadomości udzie-
lił, który tak łatwowiernie wierzyłem,

że Xawery, co umiał moje myśli przenikać, umyślnie szukał mnie w ogrodzie, i długo taił przedemną szczęście oglądania Amelii, aby im niespodzianię, tém mocnię, dał mi je uczuć.—

Nie upłynęło kilka miesięcy, ia oboję Amelii pędziłem życie szczęśliwe. Xawery oświadczył mnie Pani Stateckiej, ona odwołała się do córki, a ta oddawszy mi już serce, nie odmówiła mi ręki.— Dziś więc już iestem najszczęśliwszy z ludzi; w téj chwili Amelii usta, w pocałowaniu serdeczném przelewaię w mę duszę uczucia naydoskonalszey rokoszy. Po wielu przygodach, znalazłem prawdziwą pomyślność, i tę winien iestem ostatecznie przyjacielowi moiemu. Sprawa w Apellacyi, na moię stronę odsądzona pomyślnie, przeciwnik niechciał już zanieść iey przed Sąd Naywyższy, a ia posiadam spadek, który po moich dziadach

do mnie należał. — Wszyscy mieszkamy na wsi, matki nasze, te najlepsze matki, zlewają na nas wszelkie niebios błogosławieństwa. Na wualu, który obraz wiosny zakrywał, w mieysce: „daleko i na zawsze” Amelia wyszyła: „twoja na zawsze.” —

Xawery! drogi przyjacielu mój! którego imie nigdy nie wygaśnie, ani w moim sercu, ani w pamięci, któryś znał wszystkie życia moiego koleie, niekiedy dzieląc je ze mną, nie odmawiaj wstępu, do mojej wiejskiej zagrody, tu swohodem, tu uyrzysz szczęśliwego przyjaciela, łzy radości skropią twoie lica, uściskam cię i zapłaczę, a na ucztę dnia tak błogiego:

Z swéy obory mam mięso, z ogrodu iarzyne.

K O N I E C .



**INSTYTUT
BADAŃ I WYKONCZYCH PRAC**

PAŃSTWA

ul. ... Nr 72

0 - 1 ... 70

Tel. ...-88 ... 20-37-31 w. 42

F
341